

NAUCZYCIELSKI KLUB LITERACKI
BIAŁYSTOK



NAJPROŚCIEJ



ISSN 1898-228X

3 / 121 / 2018

☐ **POEZJA.** • Elżbieta Grabosz (str. 3). • Irena Słomińska (str. 4-7). • Renata Diaków (str. 8). • Adam Wierzbicki (str. 9). • Rafał Orlewski (str. 10).

• **WIERSZE ZE SPOTKAŃ I KONKURSÓW:** Anastazja Michalina Banasiak (str. 11), Grażyna Cylwik (str. 11), Jolanta Maria Dzieńis (str. 12), Józefa Drozdowska (str. 12-13), Katarzyna Grabowska (str. 14), Krystyna Gudel (str. 14-15), Regina Kantarska-Koper (str. 16-18), Beata Kulaga (str. 19), Barbara Lachowicz (str. 19), Joanna Pisarska (str. 20), Ewa Danuta Stupkiewicz (str. 20), Maria Roszkowska (str. 21), Regina Świtoń (str. 22-23), Leonarda Szubzda (str. 24).

☐ **PROZA.** • Elżbieta Jarosz-Kondraciuk. *Na strychu; Babcia; Kamizelka dziadka; Zapach jabłek*. [Opowiadania]. (Str. 25-28). • Zbigniew Nowicki. *Dylematy Boga, czyli dewocja nasza codzienna*. [Opowiadanie]. (Str. 29-30). • Barbara Gajewska. *Bezdomny*. [Opowiadanie]. (Str. 31-34). • Rafał Orlewski. *Dziesiąty list*. [Opowiadanie]. (Str. 34-37). • Tadeusz Ruffński. *Powróćmy jak za dawnych lat... [2]*. (Str. 37-43).

☐ **SATYRA.** • Kazimierz Słomiński. *Fraszki (2017-2018)*. (Str. 44-47).

☐ **RECENZJE.** • Daniela Długosz-Penca. *Rozważania nad „Tożsamością” Ireny Słomińskiej*. Rec.: Irena Słomińska. *Tożsamość*. Białystok 2018. (Str. 48-49). • Mieczysław Wojtasik. *Impresja bytu*. Irena Słomińska. *Tożsamość*. Białystok 2018. (Str. 49-50). • Rafał Orlewski. *Mowa świata*. Rec.: Irena Słomińska. *Tożsamość*. Białystok 2018. (Str. 50-53).

• Romana Więczaszek. *Kazimierz i Irena Słomińscy – literaci z Białegostoku*. (Str. 53-54).
• Grażyna Cylwik. *Plener literacki w Kazimierzu Dolnym 30 września – 8 października 2018 roku*. (Str. 54-55).

☐ **NOTKI.** Oprac. K. S. (Str. 56-62).

☐ **KSIAŻKI.** Oprac. K. S. (Str. 62-63).

☐ **SATYRA.** Kazimierz Słomiński. *Fraszki o butach*. (Str. 64).

Autorzy tekstów zamieszczonych w 3/121/2018 numerze „Najprościej” w układzie alfabetycznym:

Anastazja Michalina Banasiak (Białystok), **Grażyna Cylwik** (Białystok), **Renata Diaków** (Nowogród Bobrzański), **Daniela Długosz-Penca (Prudnik)**, **Józefa Drozdowska** (Augustów), **Jolanta Maria Dzieńis** (Białystok), **Barbara Gajewska** (Piotrków Trybunalski), **Elżbieta Grabosz** (Warszawa), **Katarzyna Grabowska** (Suraż), **Krystyna Gudel** (Suchowola), **Elżbieta Jarosz-Kondraciuk** (Warszawa), **Regina Kantarska-Koper** (Białystok), **Beata Kulaga** (Białystok), **Barbara Lachowicz** (Białystok), **Zbigniew Nowicki** (Białystok), **Rafał Orlewski** (Piotrków Trybunalski), **Joanna Pisarska** (Białystok), **Maria Roszkowska** (Białystok), **Tadeusz Ruffński** (Białystok), **Irena Słomińska** (Białystok), **Kazimierz Słomiński** (Białystok), **Ewa Danuta Stupkiewicz** (Białystok), **Leonarda Szubzda** (Sokółka), **Regina Świtoń** (Knyszyn), **Adam Wierzbicki** (Dłużek), **Romana Więczaszek** (Brzeg), **Mieczysław Wojtasik** (Bydgoszcz).

Wybór tekstów, opracowanie i przygotowanie do druku: **KAZIMIERZ SŁOMIŃSKI**.
Wydawca: Nauczycielski Klub Literacki przy Zarządzie Okręgu Podlaskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Białymstoku (15-034, Białystok, ul. Dobra 12).

Druk: światłokopia ZO ZNP. Nakład 115 egz. Honorariów nie płacimy.

Numer dostępny w całości na portalu internetowym: <http://migielicz.pl>

Grafika na str. 1: **Maria Roszkowska** (Białystok).

Nasza ziemia

...gdybym siłę wiatru miała
i tańczyć umiała jak wiatr
nasienie maku rozsiać bym
po Kraju chciała
niech rośnie czerwony mak!
Tam
gdzie kropla krwi padła
dla każdego serca
jeden mak
niech kwitnie!
Krzyży bym nie postawiła
bo cmentarzem byłby cały Kraj
ale ziemia
niechby się zaczerwieniła
niech kwitnie
i rośnie na krwi
wieczny mak!
Miejsce straceń
ogrodem i gajem będzie
i gdzie samotny Żołnierz leży
niech mak rośnie wszędzie
...gdybym siłę wiatru miała!

Wykonany rozkaz

ks. Jerzemu Popiełuszce

Tej nocy długo bito
leżącego.
– Kim był?
Hm.
– Kim był...
Świadek księżyc
schował się za chmury.
Bito!
– Za co bito?
– Czy był defraudantem?
Nie!
– Zbiegiem?
Nie!
Bito
Polak – Polaka
za PRAWDĘ
którą głosił z ambony
za pragnienie stąpania po wolnej Ziemi.
Judasze dwudziestego wieku
celnie uderzali.
Aż nastała cisza
zamilkły usta
i cichy szept modlitwy.
W zaciśniętej dłoni
leżał maleńki krzyżyk
„Boże miej ich w opiece
bo nie wiedzą co uczynili”...

Irena Słomińska

Ogrody

O zmierzchu
otwierają się w tobie ogrody
rozmigotana feeria
barw
z których zawsze tkalaś kilim –
życie

Idziesz w głąb prostą drogą
pomiędzy grządkami warzyw
Snują swoją powszednią baśń...

Ich pożyteczność manifestuje się
kolorem
i tobą
niezbędną
by ukoronować sensem
kwitnieniem
każdy dzień

Popatrz – oto kwietne
rozpasane obrazem barwą zapachem
rozwinięcie ogrodu –
bez niego byłoby niepełne
wszelkie życie

Otwierające się ogrody

Bywają wspomnieniem
które wkracza swym pięknem
w twą terażniejszość
i iluzję –
przyszłość

15.09.2017

Cyrk

To taki twój wewnętrzny cyrk
w nim zongluje talerzami świat
muzyk gra na szkle
wypełnionym wodą winem treścią
migocą w powietrzu krople pochwycone
przez dziobki papug
mieni się czar tej rzeczywistości barwą
snem

kuglarze zlegli na arenie pokotem
tak kończy się każdy żart z życia skecz
niezgrabność nieudolność naturalna
śmieszność

zobacz dwie strony swojej radości
tę ciemną tę jasną

i zatańcz na pędzącym koniu

akrobaci mienią się cekinami
w tej ogromnej przestrzeni pod kopułą
namiotu
popatrz – lecą w twój sen marzenie
sokoły niepodległego czasu

ten cyrk jest wszystkim i niczym
teraźniejszością i historią
pozorem

którego próbujesz doświadczyć

16.09.2017

Okna

Kiedy zmniejsza się zasięg wzroku
do wnętrza pokoju,
do twego wnętrza,
kiedy film pamięci już tylko odtwarza
bliskich ci ludzi,
kiedy w rzeczywisty krajobraz wpisują się nieliczni,
powraca zachwyt nad sztuką
detalu.

Każdy szczegół otoczenia obrasta w sensy,
w swoją niepowtarzalną estetykę –
brzydota, piękno, nijakość
tworzą porażający pełnią
obraz świata.

Rozkwitają: łyżeczka, szklanka, haft na obrusie.
Chaos nieuporządkowanych książek pomniejsza
poznanie.

Kredens zniszczony postarzały wyprowadza z siebie
doniczkowy kwiat – patrz, zgubił liść!

Dywan snuje abstrakcyjną opowieść
już trochę przybrudzoną.

I okna.
Pomyśl –
wciąż mamy okna!

18.05.2018

Zmierzch

Jak z iskry, co rozbłysła w tobie o zmierzchu,
wzniecić płomień?

Zacierają się kontury świata.

Wyostrajają się kontury świata.

Obraz – przybliżający dawniej nierealne,
dziś mieniające się w realność

duchowe krajobrazy;

myśl rozkwitająca – lotos poznania, jakie
nigdy dotąd nie było ci dane.

Wybierasz najbliższy ci strumień światła.

W nim płoną przedmioty, domy, ludzie, natura.

Księgi otwierają nieoczekiwane strony.

Internet mówi nieoczekiwane słowa.

Sprzęgły się rzeczywistości: wirtualna, realna, wyśniona.

Film oddechu porusza kadry ciała

i niemoc staje się wiedzą.

Zmierzch, odchodzenie bywa iluminacją.

Czy młodość w bogactwie swoich doznań

też dostrzeże

niewpowtarzalną chwilę zmierzchu?

18.05.2018

* * *

*O, gdybym kiedy dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy.*

Adam Mickiewicz

To już nie strzechy, wymuskane dachy,

a ksiąg jakby nie widziano.

Ludowa poetko, dla kogo swoje wiersze przędziesz?

Krasnoludki pod piecem przerzucają słowa,

które może kiedyś do kogoś trafią.

Jest przecież w narodzie wrażliwość,

tak niezbędna, jak niegdyś była niepodległość,

więc może jest nadzieja, że ktoś się otworzy

na wiersze.

Elżbieta Daniszewska, prawie dziwożona,

zostawiła nam spichlerz żywego ziarna.

Czy się pożywisz podpłomykiem życia?

Bo duch przenika ściany domu, ciebie,

wieś i miasto.

Zrównajmy internet z ziemią,

a ptaki znów przelecą zaorane pole.

28.08.2018

Dom otwarty

bo przecież masz korzenie

mówi do ciebie góra Grabarka
lasem krzyży cerkiewką rozkwitającą
obrazem ścian płomykiem świecy ikonostasem
aurą z ducha wyprowadzoną nieziemską
snującą wewnętrzne światło na wskroś
słójów pokoleń
wrosłych w sosny

kołysanka z dzieciństwa
język „po prostu” – dziedzictwo kresowe –
usypiający błogo starość

i wewnętrzna świadomość
że przecież choć niejednoznacznie
poprzez meandry historii
wpisałaś się w polskość

Podlasie stało się dla ciebie budowaniem
z różnych cegiełek człowieczego domu
otwartego

2.09.2018

Źródelko

Ci ludzie pochyleni nad źródelkiem
czerpią z niego żywą wodę

Dzisiaj tylko kubeczek historii
nieświadomie wpisanej w codzienność
wieńczy każdy posiłek

Tak rzadko teraz mówi do nas niepodległość
choć wciąż oddycha nieodległa
przeszłość
gdy wyrzeźbiliśmy sobie wolność

Nieznani bohaterowie artyści
ducha

Ich pieśń trwa

A sto lat temu nieopierzona państwowość
nauczyła nas walki Dawida z Goliatem

Złóż u źródelka historii
wiązanek polnych kwiatów

2.09.2018

Irena Słomińska

DZIECIĘCE WSPOMNIENIA

Pierwszego dnia zapłonął ogień

Przyszłam tu w dniu, kiedy świat stanął w ogniu, a blask czerwonej gwiazdy blakł w jasności wschodzącego słońca.

Wskrzyszona ogniem miłości moich rodziców odrodziłam się jak feniks i jestem żywym ogniem, który ogrzewa i krzepi,

zbliza i jednoczy nawet wtedy, gdy nieopatrznie wymknie się spod kontroli i strawi wszystko prócz wspomnień. Znów

siedzę w ogrodzie ubranym w purpurę i słucham ognistej pieśni, podczas gdy liście przybierają barwę krwi, by w zapomnieniu

obrócić się w popiół.

15 sierpnia 2018

Drugiego dnia zakwitły kwiaty

Popiół użyźnia ziemię, z której wyrastają kwiaty. Wybiegałam z domu rankiem, wybiegałam boso, bo ciepły był oddech ziemi.

W dolinie rozpościerała się dziewicza łąka. Różnobarwnymi płatkami wypełniałam kosz. Zanurzałam dłonie w feerii barw

i na sygnał dzwonekó w rozrzucalam wonne dary łąki. Byłam wolna, frywolna, szczęśliwa. W obfitości sakralnych uniesień

zapomniałam, że o zmroku z traw wyłania się mgła.

15 sierpnia 2018

Trzeciego dnia pojawiła się mgła

Mgła spowila łąkę, las i ogród. Przerazona, drząc od oblepiającego mnie chłodu, zapagnęłam ogrzać się przy płonącym pod kuchenną

płytą ogniu. Ale jak we mgle dotrzeć do domu? Nie ma już rozłożystej gruszy na rozdrożu, zarosła polana nad strumykiem, wycięto las

okalający dom, na niebie zgasły gwiazdy. Zamykam oczy i przeglądam mapę serca. Odnajduję drogę. Rozpalam ogień pod kuchenną płytą, a

iskry wysypujące się z komina zapalają gwiazdy. Znów przez kuchenne okno widzę ogród, las i łąkę, bo opadła mgła zapomnienia, bo

ogień ożywił pamięć.

15 sierpnia 2018

Puzzle

Beatrycze

Nasze relacje budujemy powoli. Prawie na piechotę.
Stosujemy metodę prób i błędów. Jednak z każdym
dniem do kwadratu przyspieszają w lepszą stronę.

Dopasowujemy się do siebie jak klocki układane
ręką przedszkolaka. Odkrywamy w sobie słabe
punkty i wrażliwe miejsca. Uzupełniamy wzajemnie

własne braki i dajemy to, co aktualnie jest nam niezbędne.

Wyzwalamy się ze złych nawyków i przywar bazując
na prawdzie i szczerości. Sukcesywnie wgłębiamy się

w siebie jak puzzle. I po każdym spotkaniu obraz przez nas
tworzony staje się pełniejszy.

Świt majowy

Beatrycze

Czwarta nad ranem niczym w piosence
Adama Ziemianina. Trzeźwiejące myśli
rozjaśniane papierosem wraz z porannym
śpiewem ptaków galopują w twoją stronę.

Wstaje nowy dzień jak u Stachury, choć
kwitną irysy, a nie tramwaje na przystankach.
Dziś mamy niedzielę. A przecież ona jest

zawsze

symbolem zmartwychwstania.

Zmysły marcowe

Beatrycze

Twoje ciało pachniało wstępującą wiosną. Budziło
mnie z letargu po czterech zdecydowanie zbyt długich
zimach. Powoli dojrzewało, bym w nie wstąpił. Słowa
ograniczyliśmy do minimum. W dialogu okazały się

praktycznie zbędne. Zastąpiliśmy je gestami. Mimo
wszystko rozumiałem Cię jakbyśmy byli z sobą lat
kilkadziesiąt. Kosztowałem twych bezszminkowych
ust (żadne usta do tej pory tak mi nie smakowały).

I tylko ciut...

smaczniejsza okazała się dla mnie kolacja, którą dla
nas przygotowałem. I tylko żal... mi było, że tym
razem nie miałem sposobności, by z Tobą zjeść
śniadanie. Po przebudzeniu całym sobą w twój zapach

wiosenny wtulony.

Rapsod

Pamięci Marii Ewy Aulich

Spłynęła łza niejedna po tej smutnej wieści
– chociaż Dorota pisze do TAMTAŁ, do Ciebie:
„Czy tam piękniej, ciekawiej?” Tu, na wsi czy w mieście,
w siewie piór nasza pamięć postać Twą kolebie.

W Kazimierzu nad Wisłą, trzy dekady temu,
głos Twój błysnął publicznie niby brzask o świcie,
lecz ja słyszałem czułość w tym tonie ekstremum.
Oto jest, pomyślałem, w poezji odkrycie.

Niebawem, po obiedzie, Feliks mnie przedstawia
i rzecze: – Siadaj przy niej, poświęć czasu krztynę,
zróbcie tomik, ja wydam. Mnie się nie odmawia...
– Więc się zanurzyliśmy w tych wierszy krainę.

Moja wierzba wieluńska – tak się szlak otworzył
poetycki dla Majki, dla takich nadproży,
za którymi ktoś czeka. I wkrótce plejada
nauczycielskich twórców z różnych stron Ojczyzny
niejedną noc spędzała, by sobie pogadać
o Twojej sztuce słowa, o osobowości.

Wszystko, co było Majką, kwitło dla polszczyzny,
nam w sercu żal pozostał i garb samotności.

Wers 5: plener twórców-nauczycieli w 1986 r.

Wers 9: Feliks Rajczak (1938-1987), wybitny poeta i fraszkopis.

Wers 13: tytuł debiutanckiego tomiku Majki.

Ważniaki

A niech sobie dworują, skoro gadać muszą –
taka to ich natura: nie chcą żyć bez plotek,
ich serca i mentalność są jedynie głuszą,
wrażliwość tyle warta, co śmieci pod płótem.

Biologię mają ludzką, lecz są jak zwierzyna,
dobry człowiek dla takich to już coś z kosmosu,
tam, gdzie czują korzyści, lubią karki zginać,
chcą – gdy profitów nie ma – być panami losu.

To jednak złudne chciejstwo – takie zadufanie,
że krzywdząc innych ktoś tam ważniejszy się stanie
od tego, który w sobie człowieczeństwo nosi.

Mądrość i czucie świadczą o ludzkiej istocie,
a nie to, że się kogoś chce utopić w błocie –
z wielkiego stosu zwykle jest popiołu stosik...

**WIERSZE
ZE SPOTKAŃ I KONKURSÓW**

**A n a s t a z j a M i c h a l i n a
B a n a s i a k**

Tęsknota za latem

Tęsknię za traw zielenią
i ptaków śpiewem
za żarem płynącym z nieba
za ciepłą falą jeziora

Tęsknię za łąką kwiecistą
lasem zielonym
spacerem we dwoje
pod gwiazdnym plafonem
nocy

Tęsknię za tobą – lato
w jesienną kapryśną słońce

jak łyzy sypią się z drzewa
ostatnie listki złote

Miłość

Przyszła niespodziewanie
musnęła ciepłym spojrzeniem
uśmiechem zauroczyła
niewidzialna
głęboka miłość

I zapachniała bliskością
dotykem twoich dłoni
smutek potokiem szczęścia
obmyła
niewidzialna
głęboka miłość

Dzisiaj na próżno czekam
wygasła radość spojrzeń
płomiennych
bez ciebie wszystko sens
straciło

W zasłonach rzęs drży łąką
niewidzialna
głęboka miłość

**A n a s t a z j a M i c h a l i n a
B a n a s i a k**

G r a ż y n a C y l w i k

* * *

wracam do chaty

pochylona jak staruszka
stoi wśród zeschniętych
traw i chwastów

w okno czasem zajrzy słońce
pozdrowi zimny kaflowy piec
mruśnie do pająka w kącie

babcia w zapasce pokonała próg
weszła do świątyni
gdzie dachem było niebo
a praca modlitwą...

Opowieści

coraz trudniej o urodę życia
powtarzała babcia wnukom
jak bajka
z kubkiem malin

przytulone do jej kolan
słuchały opowieści...

wracała myślą do dzieciństwa
smutek porwał wiatr...

patrzyła w otchłań ogrodu

w barwach kwiatów

* * *

kluczem łagodności i pokory
otworzę drzwi do starej chaty

powracam do wspomnień
one są we mnie
nie uleciały jak przelotne ptaki

w ogrodzie cisza i pamięć

a na ławce przed domem
cień Babci przysiadł...

G r a ż y n a C y l w i k

Jolanta Maria Dzienis

Tęsknota za latem

Tęskniłam za latem rok jeden i drugi
Próbując pokochać uroki szarugi
Marzyłam o słońcu, kąpielach w jeziorze
Gdy z leszczyny spadał niedojrzały orzech

I przestałam czekać, nie licząc już na to
Ze po chłodnej wiośnie przyjdzie ciepłe lato
Schowałam do szafy sukienki z muślinu
Wyjęłam kalosze razem z peleryną

A tu niespodzianka, deszcz nie pada wcale
Słońce każdego dnia przygrzewa wspaniale
Czerwonością kuszą wśród chaszczy maliny
Świat zda się z magicznej przybyły krainy

Wiem, że baśń na jawie potrwa tylko chwilę
Po czym we mgłę zniknie jak kruche motyle
O takim więc lecie wśród dżdżu będę śniła
I za takim latem wciąż będę tęskniła

Jolanta Maria Dzienis

Józefa Drozdowska

Ochotnik

Pamięci stryja Stanisława

W słońcu chylącym się za nieboskłon
olszyny w girlandach brązowiejących liści
Wiele drzew okalających ugór już nagich
po pierwszym niespodzianym mrozie
Na czerwieniejącym niebie wyglądają
jak lance czy szpice nastroszonych bagnetów
Co chwilę nawiewa w oczy paździerzem
i dymem z dołu zakrytego darnią i faszyną
gdzie suszy się do międlenia len
Stryj na czele gromadki przybyłych na tłokę
w spodniach „galife” i kozuchowym serdaku
zarzuconym wprost na koszulę schyla się
i prostuje na przemian nad międlicą

a tuż za nim kobiety w płóciennych bluzkach
i chusteczkach wokół głów kłapią cierlicami
aż słychać je w odległej okolicy
Łyk ciepłej kawy zbożowej
rzut oka na garście lniane rozrzucone
po ugorze i ciemniejące szparko niebo
i znów skłania głowę niczym w modlitwie
W jego niebieskich oczach koloru
kwitnącego lnu
chwile obecne przenikają się ze
wspomnieniami

To już kilkadziesiąt lat temu
jak przeszedł połacie ojczystej ziemi
od Suwałk po Kijów i Owruć
Kamionkę Modlin i Sejny
piechur i strzelec – ot zwykły ochotnik
w butach zdartych do onuc
w spłowiałej rogatywce na głowie
z raną na szyi zadana
odłamkiem szrapnela pod Ostrowiem
Szedł i nucił bo kochał śpiew i dziewczynę
która nigdy nie stała się jego żoną
Myślał z niepokojem o siostrze
będącej jeszcze dziewczęciem
Szedł by móc w przyszłości
spokojnie trzeć len przed zimą
z którego matka tkala płótno
Uśmiechnął się sam do siebie
że słońce zachodzi na pogodę
Jutro będzie można ściąć
głowy kapusty z zagonu
i dokończyć rąbanie drewna na opał
Usiądzie wówczas na pieńku
zaciągnie się dymem z machorki
i po cichu zanuci kantyczkę
Wszak niebawem już Adwent

Bez butów

Do fotografii z wczesnego dzieciństwa nie włożono mi butów
całą stopą jednej nogi i czubkami palców drugiej
ubranych jedynie w rajstopki dotykam barwnego dywanika niczym z baśni
po trosze tak jakbym miała za chwilę pofrunąć
Przytrzymuje mnie przed tym z tyłu za przegub jednej ręki
i ramię drugiej starszy brat stojąc na tym samym dywaniku
w ciemnych lakierowanych trzewiczkach
Zna już odwagę chodzenia i może przeczuwa że nie będzie
trwać ono tak długo jakby sobie tego życzył
Nie pamiętam już jak wiele par sandałów znosiłam
od tamtej pory gdy sfotografowano mnie bez butów na podwórku w Judzikach
a nosiły mnie one w różne niekoniecznie zawsze szczęśliwe strony
Czy przeczuwałam to już wtedy nie chcąc nad wyraz długo bo przez dwa lata
zrobić pierwszego kroku przed siebie

Opowieść o piesku do butów

Ojciec przytrzymując się
jedną ręką futryny drzwi kuchennych
wkłada w drewniano-rzemienny pysk
przemarznięte wojłoki w kaloszach
Dysząc przy tym jak parnik z kartoflami
świszcząc niczym czajnik na blacie
uwalnia jedną po drugiej nogę z butów
Ościeżnica zdaje się trzeszczeć pod naporem
szmaciane chodniki ślizgają się pod psim pyskiem
świat za oknem milknie w moment wiadro więzi skrzyp studni
tylko Reksio przy budzie ujadaniem zwiastuje śnieżną noc
Matka objaśnia zwisającą lampę nad stołem –
drewniany piesek do butów przywykły do codziennej służby
zasunięty pod żelazne łóżko waruje w ciszy
kołysany kocim mruzeniem
I tak do jutra

Wieczorna impresja

Zewsząd owiewa mnie ultramaryną ze schnącej bielizny
na biegnącą boso po mchu w czerwień zachodzącego słońca
kładą się ciężarem końca dnia ciemniejące zielenie kalmusów i olszyn
Jak udźwignąć tę paletę kolorów kiedy ręce obciążone blaszaną miednicą
i sandałami oraz nagością duszy i ogromem wyobraźni
Czy łatwiej jest obutemu przejść przez bramę igielnego ucha

J ó z e f a D r o z d o w s k a

Katarzyna Grabowska

* * *

Jakaś siła
każe mi
igrać z ogniem

jesteś przecież
dzieckiem słońca
mówi
neandertalską boginią
z sanktuarium
w skalnej grocie

ostukuj
krzemień o krzemień
rozniecaj
skradzione światło
zakręć kołem
by fortuna
zapaliła
zakłute drzazgi

lepiej bowiem
odważnie spłonąć
aniżeli błędzić
w ciemności

* * *

Tak jak lato
zgubiłam
kilka dojrzałych włosów

ich miejsce
zajmą te
o barwie
spopielonych kości

otwieram usta
haustami łapię
resztki
przegrzanego nieba
zamykam
jak zapasy
na zimę

gdybym
tylko mogła
zatrzymać ptaki

Krystyna Gudel

Kobieta w zielonej zapasce

Chroni resztki lata
w żyłastych rękach
jędrne owoce starej jabłoni

wykrawa gniazda
wokół niej pełno
letniej urody

Kiedyś rzucała serpentynę
ze skórek za siebie
aby poznać imię chłopca

wróżba się spełniła tylko
ten mężczyzna pracuje już
w ogrodach niebiańskich

Kuchnia wypełnia się winnym
smakiem w zimowe wieczory
przywoła letni czas

jeszcze tylko zamknie słoiki
nawlecze krążki na sznury
i będzie czekać

Kobieta w zielonej zapasce
wciąż pachnie latem

Do Marii R.

Pamięci Marii Rodziewiczówny

Kto ci dał skrzydła strażniczko kresowych stanic?
Słowem i czynem rzeźbiłaś sny o wolności,
a dziki rzeźnik grabił i palił twe włosci.
Kto ci dał siłę, gdy wyczerpana do granic

Myślałaś czasem: A może to wszystko na nic?
Czerpiąc ze Źródła, uczyłaś mądrej miłości.
Za to cię czczono wyrazem szczerzej wdzięczności.
Zapał do życia syciłaś wspomnieniami.

Lata tułaczki raniły jak drut kolczasty.
Na pomoc sławie tęsknota do swojej ziemi.
Ciężłe pragnienie z ugoru wrywać chwasty,

wysiewać ziarno, oczyszczać z gruzu, z kamieni.
Pióro i socha, sława i upokorzenie.
Wiara i prawda trwają jak polne kamienie.

Po dwóch stronach okna

Czuby drzew nakreślają zarys jego świata.
O świcie piszą plan dnia, gaszą ślady nocy.
On się stara, by znowu móc otworzyć oczy
i ujrzeć w ramie okna słońce albo ptaka,

co obecnością niosą okruchy nadziei.
Czasem wiatr zakolebie potężną koroną
albo chmura zapłaczę deszczową zasłoną
lub też kruk pojedynczym krzykiem rozweseli.

Kiedyś śmigał po stepie na gorąckrwistym,
duszą był towarzystwa, bawił na salonach,
o przyjaźni i koniach opowiadał wszystkim.

W gablocie zbiór medali i wstążka czerwona.
Teraz między ścianami a okienną ramą
kreśli drogę na kółkach. Codziennie tę samą.

K r y s t y n a G u d e l

Sen o butach

prześladuje mnie powtarzający się sen
niby nic strasznego
lecz budzi niepokój

śnię mi się po prostu buty...
tabuny przeróżnorodnych butów
w rozmaitych konfiguracjach

raz są to szafy wypełnione eleganckimi
szpilkami w kolorze sukien
kiedy indziej zimowe kozaczki
z oderwanymi podeszwami
grzęznące w błocie
albo stopy zniszczonych pantofli
bez pary

w tych snach zwykle wybieram się
w jakąś daleką podróż
a kłopot z butami odracza ją
a nawet uniemożliwia

wszyscy już dawno wyjechali
zostaję sama
pośród sterty znoszonych butów
bez pary

14.04.2018

Przyśniony wierszyk o...

Moja Muza chyba oszalała
albo się czegoś naćpała
i sobie ze mnie zażartowała.

Na jawie mnie opuściła,
ale za to mi się przyśniła
i zapisać kazała
(niech się duch poezji zmiłuje),
co następuje:

„Ochoczo oddam
otrzymanego od ojca osła.
Opieka obowiązkowa obrzydła,
odstręcza, ogromem obrosła”.

I co to niby ma znaczyć?!
Muzo, ciebie zapytuję!
Słowa bez sensu na literę „o”?!
Ja chyba zwariuję.

Wróć, Muzo, do jawy z obłąkańczych snów
i zacznij poważnie ze mną pracować znów.

28.09.2018 (autentyczny sen)

ROZTERKI POETY

chciałby napisać wiersz doskonały

czyli jaki?

nie ma przecież idealnego wzorca wiersza
w mieście Sèvres pod Paryżem
tak jak nie ma tam także
wzorcowego modelu
Człowieka

więc może pisać takie wiersze
jakie sam chciałby czytać?

ale jaki wiersz chciałby przeczytać?
o czym i w jaki sposób skonstruowany żeby
wgryzł się w każdy nerw wstrząsnął
każdą emocją powędrował
tętnicami dotarł do najgłębszego „ja” obudził
co uspione utulił co przerażone
uleczył co zranione
pozwolił zrozumieć istność
i jeszcze zachwyił
oczarował
porwał

i żeby kropla tego zachwytu
spadła na autora
rozlała się miodem po jego wnętrzu
omaściła delikatną tkanę jego duszy
wzmocniła
umocniła

może powinien to być wiersz o przyrodzie?
tylko jak słowami pokazać całe piękno i grozę
wszechświata (nie gorzej od Stwórcy
bo bogopodobnej podróbki
nie ma sensu kreować)

więc może o człowieku?
to jeszcze trudniejszy obiekt nieprzewidywalny
wzniosły i groteskowy pionowe zwierzę
świadome Boga często upadłe choć
niby brzmi dumnie zwłaszcza kiedy śpiewa
wiersz pisze buduje świątynie
kocha...

ach wiersze o miłości... ale cóż to jest miłość?
tyle definicji ile ludzi przez wszystkie
stulecia przeszłe i przyszłe i każda niepełna
i żadna nietrafna wiersz o miłości musi wzbudzić
miłość strumyki liter mają płynąć w żyłach

pieścić każdą komórkę ciała aż do omdlenia duszy
taki wiersz za któryś gotów oddać życie
jak za ukochaną osobę

hmm więc wiersz o śmierci... o Sędzi co na ciebie czeka
po tamtej stronie nocy gdy już Noc Ostatnia
ogarnie twoje trwanie a ty jak wylęknione dziecko
przed Ojcem staniesz niepewne czy przytuli czy
wymierzy karę bo chociaż to nie ty wywołałeś wojny
nie ty dokonałeś holocaustu
to uzbierało się przez życie trochę
grzeszków jak rupieci w kieszeni podrostka
jak zbędnych gratów których żal się pozbyć
z przywiązania przyzwyczajenia wygody

wiersz doskonały winien mieć puentę taką
prosto między oczy! w trzewia! w nieśmiertelną
pamięć trwającą ponad czasem

1 – 2 listopada

święto tych co odeszli do innego wymiaru
jedne z niewielu dni gdy jeszcze żyjący
ocierają się o wiekiistość

wspomnienie bliskich rozbudza tęsknotę
za wspólnym czasem przy świątecznym stole
to się już nigdy nie zdarzy niestety
zamiast świec tylko znicze

w ich blasku cały cmentarz zdaje się być niebem
światła – gwiazdami co zeszyły na ziemię
duszami zmarłych które przywołane
wpadły na chwilę przywitać się z nami

płomyki zniczy tańczą
powiew nieśmiertelności
już nie nadzieję daje
lecz pewność spotkania

Regina Kantarska – Koper

Beata Kulaga

jeszcze...

jeszcze mi wschody słońca
pachną malinami,
jeszcze mi pamięć maluje
obrazy dróg i bezdroży,
jeszcze mi dzwoni w uszach
strumień rozbity o skały,
jeszcze wieczorne słońce
serfuje na grzbietach fal,
jeszcze pod powiekami
kłębią się sny gorące,
jeszcze mi ciepły piasek
wije się miękko u stóp...

a już wieczory zbyt krótkie,
zbyt późne poranne zorze
i kasztan w pierzynie z liści
śpi słodko, gdy śpiewa mu deszcz...

Beata Kulaga

Barbara Lachowicz

* * *

jak opisać cienie drzew
rozkołysanych nad grobami
przeszłości nieutulonej
ze skarbami doświadczeń
dobrych i złych

jak rozmawiać z nimi
światełkami zniczy wielobarwnych
gdy chyboczą blaskiem wśród
najdłuższych nocy w roku
czy łąkać razem z wiatrem

są jak dusze zmarłych zbłąkane
na ścieżkach w szeleście liści
tych co wiążą kroki żyjącym
i tych co trzymają się gałęzi
zmienionych jesienią

chcę nanizac chwile ulotne
na ciągłość historii i wieczność
aby stały na straży słów
zatrzymanych na języku
słyszalnych w głębi serca

dopóki toczy w sobie strumień
życia przeciwko śmierci –
światłu lub ciemności

Barbara Lachowicz

Joanna Pisarska

Zapach akacji

pełnia ma w sobie załazek rozpadu
pierwszy krok w stronę odejścia w przeszłość

nie ma innej terażniejszości
innego spaceru późnym popołudniem
w momencie przeobrażania się wiosny w lato

w momencie którego nie uchwycisz
bo już minął
choć akacje kwitły w tym roku tak długo
że w końcu na pół wysuszone kiście
wisały jak festony zastygłych dekoracji
nie wydzielając żadnego zapachu

a przecież pamiętasz ten zachwyty
zwalający z nóg rozpoznawalny
w tylu miejscach gdzie cię chwycił
znienacka i zawsze za gardło

a ty w bezdechu poddany uległy
przez chwilę nie istniałeś dla świata
trwając w uścisku piękna
złudzeniu nieprzemijania

o krok od wieczności

Dzień zaduszny

szarość oplata ziemię i ludzi
niebo schyla się dosięga grobów

wchłania światła
drgające miękko

pomiędzy
światami

Joanna Pisarska

Ewa Danuta Stupkiewicz

Złowię ciszę...

przygasa
poświatą zachodzącego światła
i tęczy sen maluje
na powiekach uspiętego lata

i w ciemnych szklanych oknach
zastygłego miasta
chłodne cienie wplata radośnie

z iskrą kolejnego dnia wspomnień

jeszcze podmuch wiatru
budzi
zapach maciejki
zabłąkany wśród kielichów
zamkniętych kwiatów

ach dobranoc lato

układam mój sen na poduszce
i śpiewam mu kołysankę
i wtapiam ją w moje życie

z marzeń już pewnych

Ewa Danuta Stupkiewicz

Cisza

Podąża za mną
ukryta w błękitnych cieniach.
Przyzywam ją.
Oswajam.
Kiedy ociera się obiecująco,
wygładzam fałdki,
zarzucam na ramiona,
zawijam się w jej objęciach
kojąco atlasowych.

Zawisam
na niteczkach marzeń
o lepszym życiu.

Tęsknota za latem

Gdyby pokruszyć tęczę
i wielobarwną posypką
przypudrować wyblakłe dni,
a potem rozdmuchać je
jak mydlane bańki
nasycone siedmioma kolorami,
słowa kanikuły
nabrałyby na powrót znaczenia,
odżyły uczucia,
przyprawione miodową słodyczą.

Ktoś na makowej łące
wyłowiłby je kapeluszem
i ułożył wiersz.

Wiejskie drogi

Zapomniane szlaki
z brodami mchu
prowadzą do garbatych chat,
zgubionych
w swawolnych roślinach.

Drogi pamiętające
zdarte podeszwy
wracających
do szklanych domów.
Zbratane z ciszą
otulającą przydrożne krzyże,
gdzie różańce polnych kamieni
odmawiają modlitwę
ku pamięci,
a wierzby strażniczki
zapisują dziuplami
historię.

* * *

Łkanie znicza przy drodze,
otulonej ciemnością,
przyzywa anioła zaniechania,
który zapomniał
rozłożyć skrzydła
nad dzieckiem
wracającym do domu.

Spróchniała kładka,
auto niefrasobliwego kierowcy,
drzewa kłaniające się wichurze
skreśliły bezpieczny powrót.

Chybotliwy płomyk
zapisuje w pamięci
niekończący się ból,
rozsiewa na granatowym niebie
okruchy gasnących gwiazd.

Do butów

O, niezastąpione w damskiej garderobie,
czyż nie o was wyśpiewać poematy całe?
Szpilki, czółenka, koturny, mokasyny...
Byleby wygodne do nóg pasowały.

Klapki, kaptcie z domowych zaciszy,
adidasy wędrownie, szerokie, wąskie w nosie...
A wspomnę czasy, kiedy byłyście jedyne, tak ważne,
że chodziłam boso po porannej rosie.

Eleganckie, modne... Wybór ponad miarę.
Jakże by mi było w nich dzisiaj do twarzy!
Tylko krztyna smutku – nieudana starość.
Czy wolno mi przy was, buciki, pomarzyć?

Spacer z Melanią

I znowu jesień. *Słońce na pędzel promieni nabrało farb,
stempluje owoce czerwoną pieczęcią.*
Przejdźmy się tą drogą, gdzie w rozczochranych zaroślach
gospodarzą wróble, a świętek na rozstaju nasłuchuje
modłów rosochatej wierzby.
Popatrz! Klangory rozbijają pożegnaniem toń nieba.
Na konsoli pół zegar przesuwają leniwie wskazówki południa.
Pogrodzona pajęczyną miedza usycha z tęsknoty za melodią
łanów. Przystańmy pod gruszą – strażniczką twojej pamięci!
Powierzała tajemnice, kiedy *ległaś na chwile odpocząć.*
Dziś wczytuję się w ems-y dzięcioła, co jej pierś upodobał.

Tam daleko domy pęcznieją urodą. Wizażysta nieba
złotym makijażem zdobi sejingowe ściany, w rozetach
satelitarnych odbija świetliste twarze. A pamiętasz tamtą
wieś rozdygotaną turkotem fur po spiczastym bruku?
w musicalu krów, owiec, stad uskrzydłych, toczyły
dosyt codziennego trudu.

Zastygły kądziele na kołowrotekach, a wieczór surfuje
po wirtualnym świecie. Tylko nocka, jak dawniej,
najczarniejszy aksamit rozściela, gwarzy szumem drzew.

Jak to dobrze, że uśmiechem gwiazd błogosławisz tej
Ziemi, do której *pinezkami urodzenia przypięło cię życie.*

Cytaty: *Melania Burzyńska „Słowa jak chleby pachnące”*

Reminiscencja

Tu kiedyś królowały topole – drzewa mojego dzieciństwa. One i ja wzrastałyśmy obok siebie. Pyszne i dumne wdzierały się urodą w bezmierność błękitów, inkaustem cieni rozpisywały na drodze tęsknotę rozstań i radość powrotów.

Słońce klingą złotą przesywało ich suknie, ptaki w bogatym koncercie unosiły pieśni na chwałę poranka. Kiedy dźwięk wieczornej zorzy gasnącym amarantem przyozdabiał ich skronie, w ekslibrisach gwiazd drżały niczym majestatyczne istoty.

Pamiętam te pianissimo i forte, kiedy chyliły głowy przed dyrygentem nieznanym, co śmigła ich ramion zamieniał w potęgę. Przystawałam posłuchać, o czym wtedy gwarzą.

Aż huknęły topory! Sójka lęk uniosła na skrzydłach. Dostojne a ciche powierzyły ziemi ostatnie jęki.

Rozszlochała się promenada.

W tamtym domu

Wspomnienia rozsiadły się po kątach, przywołują dzieje. Jawi się pokój z okienkiem od ogrodu, zabarwiony wszystkimi odcieniami nieba. Przy ścianie kufer w mosiężnych ozdobach, komoda z figurką Najświętszej Pani. Tu blask jutrzeńki gościł. Złotą koronę wkładał na Jej skronie. A kiedy katamaran zmierzchu spływał szarą smugą, „naftowa” wyteża przyciemnione źrenice. Armie koziołek szturmowały szyby brzęczącym menuetem. Snuło się pasemko ognia w kominie, jakby w rytm muzyki lirycznej i upojonej z serca starego patefonu. Imbryk parskał strużką malinową, pęczniały smakiem pampuchy na parze.

Księżyc pyzată twarz wciskał do kuchni z ciekawości, a może dla podziwu rąk matczynych, spod których wzorzysty kilim odsłaniał pejzaż podlaskiej łąki.

Zegar zachrypłym kurantem otwierał tajniki alkowy. Tam pękate sienniki uśmiechały się obietnicą snów kolorowych.

Dziś gospodarzy tu cisza.

Regina Świtoń

Leonarda Szubzda

Podlasie

Ojcowizna
linią horyzontu spięta z niebem
jego okruchy
niezapominajkami błękitnieją
w dolinach rzek

ziemio naszych matek
kołysanek pożegnań i modlitw
w różnych językach
do tego samego Boga

tajemnico ptasich powrotów
domów – gniazd
kaflowych pieców
przy których wciąż drzemią
dzieże marzące o chlebie
ze znakiem krzyża

w pamięci koleiny losów
wymazane z map święte nazwy
mroczne dni z orłem bez skrzydeł

odzyskana po latach zniewolenia
pękniętych słów płonących stosów
ziemio nasza
norwidowska tęsknota
trwaj
jak Dobra Nowina

Leonarda Szubzda

-
-
- *Po prostu buty...* Augustów, 17.06.2018. Wiersze: J. Drozdowska. *Bez butów; Opowieść o piesku do butów; Wieczorna impresja*. R. Kantarska-Koper. *Sen o butach*. R. Świtoń. *Do butów*.
 - Turniej jednego wiersza. 16.09.2018. Temat: „Tęsknota za latem”. Wiersze: A. M. Banasiak. *Tęsknota za latem*. J. M. Dzienis. *Tęsknota za latem*. K. Grabowska. *** *Tak jak lato...* B. Kulaga. *Jeszcze...* J. Pisarska. *Zapach akacji*. M. Roszkowska. *Tęsknota za latem*. E. D. Stupkiewicz. *Złowią ciszę...*
 - Turniej jednego wiersza. 21.10.2018. Temat: „Znicz”. Wiersze: R. Kantarska-Koper. *1 – 2 listopada*. B. Lachowicz. *** *jak opisać cienie drzew...* J. Pisarska. *Dzień zaduszny*. M. Roszkowska. *Łkanie znicza przy drodze...*
 - Ze spotkań warsztatowych. Wiersze: A. M. Banasiak. *Miłość*. K. Grabowska. *** *jakaś siła...* R. Kantarska-Koper. *Przyśniony wierszyk o...*; *Rozterki poety*. M. Roszkowska. *Cisza*.
 - *Kamień i drzewo pamięta...* Barcin 2018. Wiersze: K. Gudel. *Do Marii R.*; *Po dwóch stronach okna*.
 - IV Regionalny Konkurs Jednego Wiersza im. Elżbiety Daniszewskiej. Knyszyn, 6.10.2018. Wiersze: J. Drozdowska. *Ochotnik*. K. Gudel. *Kobieta w zielonej zapasce*. M. Roszkowska. *Wiejskie drogi*. L. Szubzda. *Podlasie*. Ponadto w numerze: I. Słomińska. *** *To już nie strzechy...*
 - XV Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Melanii Burzyńskiej pn. „Poezja życiem pisana”. Mońki 2018. Wiersze: G. Cylwik. *** *wracam do chaty...*; *Opowieści*; *** *kluczem łagodności i pokory...* R. Świtoń. *Spacer z Melanią; Reminiscencja; W tamtym domu*. Ponadto w numerze: R. Diaków. *Pierwszego dnia zapłonął ogień; Drugiego dnia zakwitły kwiaty; Trzeciego dnia pojawiła się mgła*.
-
-

NA STRYCHU

Pośród pożółkłych czasopism, kruchych i zasuszonych jak skrzydła motyli, zetłanych szmat, powykrzywianych butów, szarymi łapkami wędrował kurz. Jego mysie, ruchliwe futerko wciskało się w każdą szczelinę i szparę, bezczelnie wylegiwało na stercie rupieci. Przysiadalo po kątach i podrywało płochliwie przy każdym potrąceniu czy stąpieniu.

Pośrodku osmalony komin dostojnie przebijał dach, ciekawie wyciągał długą szyję, stroił głowę kapeluszem dymu.

Rankiem dzwonki wróbli budziły świątynię strychu. W skwarze południa powietrze puchło od nagranych dachówek, wypływało małym lufcikiem jak ciasto z dzieży. Pękało suchymi strąkami upału. Wysypywało ze swego wnętrza delikatne groszki szelestów, tajemniczych szeptów, szmerów, koronkowych dreptań gołębic łapek, zaczeplających pazurkami o dachówki.

Zwinne jaszczurki promieni przenikały przez szpary i śmigały po skrzypiącej podłodze.

Wchodziłam ostrożnie po szczeblach drabiny. Tęskniłam za żelazkiem z duszą, mózdzierzem z lanego żelaza, babcinymi nożyczkami kosztującymi kiedyś milion, pstrą sukienką z karczkiem, z której dawno już wyrosłam – tak jak ze swego dzieciństwa.

Słyszałam zadowolone gołębie gruchanie turlające się po dachu, spadające w dół, uciszone niespodziewanie furkotem skrzydeł. Pęknięta szybka okienka kusila, by wyrzeć na zewnątrz.

W dole rosła śliwa obsypana granatowymi kolczykami owoców. Ogród, wzbudzony falą drzew, dryfował pośród obłoków. Zanurzał swą zieleń w słońcu.

Stara łajba strychu trzeszczała, kołysana rytmicznie w takt uderzeń wiatru, falowań wzburzonych gałęzi. Białe żagle prześcieradeł, rozdęte na sznurach pod stropem, unosiły mnie wysoko ponad ogrodem. Skrzypiały drewniane bele, porośnięte delikatną pianą pajęczyn.

Dostawałam wtedy zawrotów głowy i mój drewniany statek utykał w białej mieliźnie ścieżki, rozlanej pośród wybujających traw i klombów. Spacerował po niej ojciec. Wędrował ogrodem jak pustelnik. Pochylony nad kratą inspektów, medytował zbratany z mową roślin, ciszą popołudnia.

Obserwowałam go często z ukrycia, a on nieświadomy mojego podstępu przemawiał do róż, gołębi i łubinów. Nieobecny dla rodziny, ukryty za krzewami porzeczek, pulsował krwiobiegiem ogrodu, leczył rany drzew.

Teraz na strychu jego wypłowiwały kombinezon tęskni do ciała, ale dusza ojca jest nadal wszechobecna, choć piorun poraził starą śliwę, zgasły róże i ogród postarzał się, tak jak i my wszyscy.

BABCIA

Powracam piaskową ścieżką dzieciństwa we wszystkie dawne miejsca, duszne od przegniłych łodyg, zeschniętych badyli, ziemniaczanych zapachów. Klęczę na opuszczonej ziemi, odgarniam zardzewiałą płataninę chwastów, dotykam palcami jej wilgotnej skóry. Wyczuwam podskórny puls, drzenie korzeni wrośniętych w czarny miąższ, naciągniętych jak struny. To była kiedyś jej ziemia, ogród, pole, jej życie i śmierć.

Bardzo wcześnie, bo wraz z paniem pierwszego koguta, babcia wysuwała się spod wielkiej, rozdętej pierzyny i szeleszcząc spódnicą zamasyście wkraczała do kuchni. Po chwili złote wstążki tańczyły w brzuchatym, kaflowym piecu. Trzaskały rozgrzane do czerwoności fajerki, pobrzękiwał drucziany pogrzebacz, a popielnik prychał migotliwymi iskrami. Szyby okien zachodziły mgłą. Bulgotał na ogniu pękaty, czarny sagan pełen ziemniaków, przeznaczonych wyłącznie dla świń. Ich słodkawy zapach przenikał do pokoju, w którym spałam i budził mnie czasem. Biegłam do kuchni w koszuli i boso. Wskakiwałam na szeroki taboret, wciśnięty pomiędzy piec a stół i wybierałam

z gara co większe, popękane bulwy. Babcia niby to odganiała mnie. Powtarzała ciągle „Oj, bo wszystkie wyjesz i świnki będą głodne” – ale jej pomarszczone policzki i kąciki ust drżały w cichym, zadowolonym uśmiechu. Najadłszy się do syta, przytulona do ciepłych kafli, z podkurczonymi nogami, obserwowałam, jak unosi ciężki sagan, a potem wysypuje jego parującą zawartość do wiadra.

Jej mocna postać, zalana światłem, sunęła przez podwórze, wkracząc z godnością w rozedrgany, upstrzony wróblim świergotem poranek. Po jakimś czasie babcia wypływała tryumfalnie z ciemnego wnętrza chlewika, lekka i szczęśliwa. Unosiła się prawie w przezroczystym powietrzu. Puste wiadro tańczyło w jej ręku, brzęcząc metalicznym chichotem, a babcina spódnica to się wznosiła, to opadała. Pęczniała jak spadochron i chudła na jej szerokich biodrach i mocnych łydkach. Potem babcia zawiązywała ciasno na głowie kretonową chustkę w pawie oczka i wychodziła w pole. Wstępowała w nie uroczyście, z wysoko podniesioną głową i z rozjaśnionymi źrenicami. Zanim jednak jej stopy dotknęły stężalej od nocnego chłodu roli, przystawała na wąskiej miedzy w pobliżu niewielkiego kamienia i przysiadła na jego gładkim, plamistym cielsku. Zdejmowała z nóg obuwie. Przekraczała próg świątyni, gdzie dachem było niebo, podłogą ziemia, a modlitwą – praca.

Mleczna rosa z traw i ziół zwilżała jej popękane pięty, twarde stopy i palce z bolesnymi odciskami. Poświęcała to wszystko łaskawie na dobry początek dnia. Żar południa zastawał ją pochyloną nad wysychającymi skibami, rozmodloną, ogłuszoną ostrym brzęczeniem pasikoników, budzoną delikatnym dzwonkiem skowronka – ministranta, który razem z nią uczestniczył w tej cichej, codziennej mszy.

Potem pamiętam już tylko jej mały, zielony pokoik i dwa łóżka pod ścianami. Jedno z nich było puste, a w drugim stale polegiwała układając na pierzynie swoje pomarszczone dłonie z palcami obrzmiałymi w stawach, powykręcanymi boleśnie. Czasem wstawiała ze swego posłania i zdejmowała z poręczy łóżka masywną laskę. Dreptała posuwistymi krokami po całym mieszkaniu. Czule dotykałam jej omszałego policzka gładkiego jak kora brzozy, a jej pergaminowe powieki zaczynały drżeć i babcia zawstydzona przecierała je szybko kraciastą chustką.

Kiedy opuszczałam nasz dom, babcia poczłapała aż do furtki i uczepiona jej kurczowo, długo stała powtarzając żałośnie: „Lepiej byś wróciła”. Lękała się bowiem wielkiego, nieznanego świata, w który wkraczałam, pełnego zasadzek, niebezpieczeństw, dziwnego i zupełnie dla niej niepojętego. Troszczyła się tak o mnie pytając wciąż niespokojnie: „Jak ona sobie poradzi w tej Warszawie”. I umarła, biedna, z tą troską w sercu. Być może, powraca nieraz jako zjawą do naszego starego domu. Błądzi nocą po pokojach, postukuje laską, która nadal wisi na poręczy jej łóżka, jakby jeszcze nie straciła nadziei.

Nie ma już babcinego pola. Ziemia też już nie ta sama. Dawno umilkły skowronki i świerszcze. Rozwiał się duszny zapach ziarna, rozpląnęły falujące trawy zbóż, pachnące słomą jak babcine włosy, w które wtulałam kiedyś twarz. Wszystko zabrał czas, pochłonęła ziemia, przyjmująca w swoje wnętrza rośliny, zwierzęta i ludzi. Może właśnie dlatego staruszka tak ją czciła i kochała, bo wiedziała, że jest nam przeznaczona i że ci, którzy ją jak synowie marnotrawni porzucili, wrócą do niej pokorni, na zawsze.

KAMIZELKA DZIADKA

Pamiętam zapachy dzieciństwa. Niedziele, gdy powietrze wokół przesiąkało słodką wonią ciasta, onieśmiałe uroczystą powagą wykrochmalonego obrusa i pościeli. Płynęło jakby wolniej, nie spiesząc się, wylewało z pomieszczeń na podwórko i ogród. Drgającymi falami rozświetlało ścieżkę, wirowało zapachami wśród kwiatów, drzew i traw, a późną jesienią stygło jak wosk wylany przez dziurkę od klucza na zimną wodę.

Każdego dnia, oprócz niedziel, o szóstej nad ranem, powietrze zaczynało nagle drżeć, ranione przeciągłym jękiem syreny fabrycznej. Zwijało się z bólu jak pod cięciem skalpela, by nagle opaść z ulgą w ramiona ciszy. Przez chwilę drżała tylko echem dźwięku.

To samo regularnie zdarzało się o godzinie czternastej, kiedy to głos syreny obwieszczał koniec pracy w hucie, a robotnicy czarną falą wylewali się z jej bram i szerokim strumieniem zalewali ulice. Dźwięk syreny budził także nasz dom, który otwierał szeroko powieki okien i rozbrzmiewał dźwiękami szczękających fajerek, garnków, talerzy i sztućców. Czekał na powitanie mojego spracowanego i głodnego dziadka i ojca – hutników. Drażnił zapachami z kuchni i dymem z komina, ożywał pośpiesznymi krokami mojej babki i matki. Wybiegałam na podwórko przed domem i wyglądałam zza węgła na ścieżkę. Jeszcze pusta, przygotowywała się do codziennego powitania i prężyła obsypując płatkami róż, kwitnącymi kolorowym szpalerem po obydwu jej stronach. Po pewnym czasie rozśpiewana furtka obwieszczała przybycie domowników, a ścieżka niosła ich ciężkie kroki ku domowi.

Pierwszy szedł dziadek, powoli, a Jego trzewiki pokrywał pył. Jak dym z kadzidła poświęcał jego zmęczone stopy, ukryte w czarnej, spoconej skórze butów. Za nim mój ojciec rozmarzonym, niebieskim spojrzeniem ogarniał ogród, hołubił wzrokiem drzewa, krzewy i kwiaty.

Na co dzień dziadek nosił czarne drelichowe spodnie, a w święta zakładał granatowy garnitur z wełny gorszego gatunku, szyty na miarę przez krawca sąsiada. Był cenionym formierzem-giserem, powierzano mu najtrudniejsze odlewy, w hucie pracował, tak jak i mój ojciec, wiele lat.

Kiedy zaproponowano mu stanowisko majstra, dziadek odmówił, ponieważ trzeba było prowadzić księgi, a on nie był zbyt mocny w pisaniu. Zarabiał nieźle, pensję wypłacano mu co dwa tygodnie i wtedy szedł z kolegami do piwiarni, prowadzonej przez znajomego Żyda.

Byłam najstarszą z rodzeństwa, ulubienicą dziadka, „oczkiem w głowie”. Czekałam cierpliwie, kiedy zje obiad i pojawi się na podwórku, by zasiąść na ławce pod gruszą. Dziadek wyłaniał się z mroku sieni już przebrany i dobrotliwym, wilgotnym wzrokiem spoglądał w moją stronę. Uśmiechał się pod wąsem. Kiedy siadł, wdrapywałam się na jego kolana i wtedy otulał mnie charakterystyczny, tytoniowy zapach i kasztanowe spojrzenie jego oczu.

Dziadek zakładał brązową satynową kamizelkę, wykończoną z przodu kortowym płótnem, zaś z tyłu ściągniętą paskiem z mosiężną, żółtą sprzączką. Kamizelka chowała w sobie tyle skarbów, tyle tajemnic, jej gładki dotyk pieścił moje policzki, gdy przytulałam głowę do dziadkowego torsu. Miała kieszenie, w jednej ukrywała się srebrna papierośnica, w której leżały równo ułożone papierosy i szklana fifka, w drugiej zaś okrągły zegarek na łańcuszku. Nie rozstawał się także z błyszczącym pudełkiem ze stali nierdzewnej, wypełnionym tytoniem i bibułkami. Łajany przez babkę zawsze palił na powietrzu lub w zimowe wieczory wydmuchiwał dym do popielnika pieca w kuchni. Babka wtedy gderała – znowu palisz te luny – nic to nie pomagało, a dziadek nadal uparcie trwał przy swoim.

Ale najbardziej tajemnicza była kieszonka kamizelki. Wydobywały się z niej dziwne szelesty i słodkie zapachy. Moje małe palce niecierpliwie wędrowały w tym kierunku, zanurzały się w nią, by w końcu wyciągnąć z jej wnętrza to, co każde dziecko lubi najbardziej – cukierki. Dziadek śmiał się tryumfalnie, głaskał mnie po głowie i powtarzał z podziwem – ale sprytna jucha! Do tej pory, jak wspomnienie dolatuje do mnie ostry zapach tytoniu, snujący się za dziadkiem i pobrzękiwanie metalowej sprzączki. Satynowa kamizelka dziadka nasiąkała jego osobowością, wyczuwała bicie serca, pulsowanie krwi. Dopasowana dokładnie do jego torsu przylegała do niego, jakby nigdy nie chciała się z nim rozstać. Miała nawet ten sam kolor, co dziadkowe oczy, atlasowo-brązowe z kasztanowym odcieniem. Skupiła w sobie całą jego tożsamość, bez niej dziadek czuł się odarty z siebie, niepełny. Dlatego tak rzadko się z nią rozstawał i zakładał ją jak drugą skórę.

Nie potrafię zapomnieć jego ciężkiego spojrzenia, pełnego jakiegoś dojrzałego smutku, gdy w dzień przed śmiercią człapał po pokoju. Nie spodziewał się pewno, co mu przyniesie noc. A może przeczuł biedny to wszystko, że po raz ostatni zakłada swoją ulubioną kamizelkę, że po raz ostatni otwiera pudełko z tytoniem i sięga do kieszonki po papierośnicę.

Zostały po nim pamiątki, pieczołowicie przez nas przechowywane, a ja nocą we śnie czasem przytulałam policzek do atlasowo gładkiego materiału jego kamizelki. Czuję ciepło dziadkowego ciała i znowu ogarnia mnie tytoniowy zapach, tak jak dziadkowa miłość.

ZAPACH JABŁONI

Wybijała w przestworza nad ogrodem i domem, dojrzewała latami do dorosłości. Rozwijała się bujnie i szybko, próbując prześcignąć nas wszystkich. Jej poskręcane, szare konary przebijały mury naszego domu, gałęzie wrastały w dach, liście wtapiały się w szkła okien, zastygały jak skrzydła owadów w kroplach żywicy. Powietrze nasączone zapachem kory, zieleni i jabłek, odurzało jak kadzidło.

Kiedy byłam małą dziewczynką, spadające w trawy ogrodu jabłka budziły mnie często nocą. Patrzyłam w okno na wyciągnięte, grube i szorstkie ramiona drzewa, wysrebrzone blaskiem księżyca. Korona jabłoni wybijała ponad miarę, odpływała gdzieś daleko w przestrzeń. Gałęzie przebijały chmury, dotykały gwiazd, a może zagnieździły się w mroku wszechświata? Płynęły wodorostami swoich giętkich ramion, unoszone kosmiczną falą. Pewnie rodziły gdzieś jabłka, które spadały na dalekie planety deszczem zielonych i czerwonych meteorów. Ale owoce naszej ziemskiej jabłoni były zwyczajne, tylko o wiele większe i smaczniejsze niż inne. Rosły pośród gałązek tak jakoś dziwnie; zielone – tylko po lewej, czerwone – po prawej stronie korony.

Pewnej jasnej, księżycowej nocy coś mnie obudziło, choć gałęzie nie tłukły o szyby ani nie ocierały o mur domu. Podbiegłam do okna i wyjrzałam na ogród. Pod jabłonią stała jakaś zgarbiona postać. Miała na sobie szare, podarte odzienie, Chude ręce wyciągnięte ku drzewu wielkimi, niezgrabnymi dłońmi próbowały schwytać jabłko. Kim był śmiałek, który chciał je ukraść, zakłócić spokój jabłoni i naszego domu? Czyż nie poraziła go wszechmocna siła drzewa, nie wstrząsnęła jego niesamowita doskonałość? Do tej pory nikt nie zerwał owoców jabłoni wbrew jej woli.

Chroniła nasz dom i wszystkich jego mieszkańców od wszelkiego zła i okrucieństw świata. Żyliśmy w cieniu jej matczynej, rozłożystej postaci jak w inkubatorze, pod ciepłym kłosem srebrnych liści. Rozwijaliśmy się, dorastali, starzeli w czystym, nieskażonym powietrzu o zapachu jej ciała. Obdarowywała nas jabłkami dojrzałymi jak ona, niesplamionymi grzechem pierwotnym. Dzięki niej odkrywaliśmy piękno – brzydota i występki istniały może, ale gdzieś daleko, poza nami, nierealne i nieprawdziwe.

Wtargnięcie tego dziwnego monstrum do ogrodu było dla mnie szokiem. Patrzyłam na niego ze strachem i niedowierzaniem. Ale jabłoń stała spokojnie, jakby lekceważąc intruza. Wiatr zamarł w bezruchu, czyżby zabrakło mu tchu?

Tymczasem palce złodziejzka wędrowały pośród liści, skradały podstępnie. Jabłoń pochylona lekko, leniwie przyzwalała na dokonanie niegodnego uczynku. Nie zauważyłam w niej, miłosiernej, ani pogardy, ni wstydu. Przechylona na prawą stronę, zachęcała nikczemnika do zerwania czerwonego, dorodnego owocu. Ale on okrążył drzewo dookoła i nagle jego długie, chude palce chwyciły zielone, niedojrzałe jeszcze jabłko. Szarpnął ręką raz i drugi, próbując je zerwać, lecz ono pozostawało nadal wśród gałęzi. Chcąc złamać gałąź, trząsnął nią z wściekłością. Szary pył kłębił się wokół niego i opadał w trawę.

Nagle jabłoń wyprostowała swe ramiona, uniosła błyskawicznie w górę. Zadrzały, zakołysały się z ogromną siłą i uderzyły w niego gradem ciężkich owoców. Obszarpaniec upadł i znieruchomiał.

Do ogrodu napłynęła skądś mleczna mgła. Przypominała martwe włosy starca, które długimi kosmykami oplątywały krzewy, wkręcały w gałązki, zaśmiecały ścieżkę.

Białym płaszczem otuliła nieszczęśnika. Jak duch rozkołysany w jej gęstej zawieszynie, bladł coraz bardziej, aż w końcu zniknął. Ogród znów wyglądał tak jak dawniej. Stoi do dziś, zachwaszczony piołunami, zardzewiały od pokrzyw i postarzały boleśnie. Jabłoń, kiedy przyszedł czas, umarła godnie. Zabrała ze sobą dwoje spośród nas, ale jej niesamowity zapach unosi się nadal wspomnieniem dzieciństwa.

Elżbieta Jarosz-Kondraciuk

DYLEMATY BOGA, CZYLI DEWOCJA NASZA CODZIENNA

W Polsce nie ma religijności, w Polsce jest dewocja.
Prof. Zbigniew Mikołajko – religioznawca

Oj, natrudził się Pan Bóg przy stwarzaniu świata, oj, natrudził. Zasłużył Bóg na wolną niedzielę, jak mało kto. Bardziej nawet niż kasjerki z hipermarketów. Szkoda tylko, że nie może jej spędzić z rodziną, bo jest singlem.

Ale co dalej? Czy spocząć na laurach? Biernie obserwować? Pogрузić się w słodkim nieróbstwie? Spędzać czas na niewielkiej kanapie przed telewizorem?

Stanął Pan Bóg przed trudnym wyborem. Nolens volens został filozofem. Zaczął się zastanawiać i zadawać sobie pytania: Jakim Bogiem być? Czy najpierw starotestamentowym, okrutnym i karzącym, a w ludziach wzbudzać strach i bojaźń Bożą? A może przejść metamorfozę jak bohater romantyczny, na przykład taki Mickiewiczowski Gustaw-Konrad i zostać Bogiem nowotestamentowym: miłosiernym, dobrym, współczującym, życzliwym i kochającym człowieka bezinteresownie? Ale przecież taka powolna, że tak powiem ewolucyjna, przemiana będzie zaprzeczeniem istoty boskości, potwierdzeniem teorii ewolucji, na co Bóg nie może sobie absolutnie pozwolić. Nie wolno dawać argumentów ateistom i agnostykom.

Bóg nie może zaznać spokoju. Staje się coraz bardziej nerwowy. Coraz szybciej przemierza niebieskie przestrzenie w tę i z powrotem. Zaczyna cierpieć na bezsenność i patrzeć na świat Argusowym okiem, a przecież jest Bogiem chrześcijan, a nie postacią z mitologii greckiej. Staje się nieprzyjemny dla aniołów. Ofuknął nawet Świętego Piotra.

Najbardziej jednak denerwują Go niekończące się prośby rozmodlonych ludzi. I wiecznie te same pytania. Gdzie był Bóg w czasach Holocaustu? Gdzie był Bóg w czasie Stalinowskich czystek? I tym podobne. Patrzy na pytających z wyższością i wzgardą. Wyrzuca im infantylizm i brak dojrzałości.

– Wy durnie – głosi – zacznijcie wreszcie myśleć. Wy obłudni miłośnicy prawdy. Tak, w samej rzeczy, mnie nie ma i nigdy nie było. Jestem wytworem waszej wyobraźni. Jestem pustką. Jestem iluzją. Jestem ideą.

Głos Boga dociera do Ziemi. Słyszą go miliony wiernych. Niespodziewanie zapada martwa cisza. Taka cisza bywa zazwyczaj niezręczna. Nagle rozerwał ją głośny krzyk milionów. Zewsząd odezwały się głosy protestu. Tak mocno uderzyły Boga w uszy, że aż musiał je zatkać, ale i to nie pomogło. Zaczęły docierać do Niego liczne głosy z Ziemi, wyrazy oburzenia a nawet liczne drwiny.

– Co to za Bóg, który nie wierzy w siebie samego?

– Patrzcie państwo, Bóg ateista, to dopiero paradoks.

– Jak to? Bez wiary i religii życie wielu ludzi straci sens.

– Bez nich przestaniemy być ludźmi i upodobnimy się do zwierząt.

– Stracimy punkt odniesienia i oparcie! – podniosły się liczne głosy.

– My chcemy Boga – krzyczeli narodowcy na Marszu Niepodległości.

– My chcemy Boga w książce, w szkole – śpiewali inni.

– A dokąd będziemy chodzić, kiedy zamkną kościoły? Nie wszyscy przecież interesują się teatrem lub operą – dowodził ktoś racjonalnie.

Do świata wdarł się chaos. Liczne pielgrzymki do miejsc świętych zaczęły zawracać w połowie drogi albo się rozpadać jak młode małżeństwa. Wzrosła przestępczość, bo kiedy Boga nie ma, wszystko wolno, jak powiedział Dostojewski.

– Pani kochana, co się porobiło?! – z oburzeniem krzyknęła jedna dewotka do drugiej. – Słyszała pani? Skarania Boskiego już nie będzie. I co ja teraz będę mówiła wnukowi, jak znowu obieca, a nie dotrzyma? Zawsze powtarzał: Babciu, zabożyć się mogę. A ja tradycyjnie: Skaranie Boskie z tym chłopakiem.

– A mój stary – dodała druga – przestanie powtarzać bez przerwy: „Jej Bohu” albo „Jak Boga kocham”. Do szewskiej pasji mnie tym doprowadzał. Strach pomyśleć, co teraz będą

powtarzać wierzący posłowie w czasie przysięgi w Sejmie. Dotąd kończyli ją słowami: „Tak mi dopomóż Bóg”. A teraz? Zupełna pustka.

– Kochana – ciągnęła pierwsza, zniżając głos – muszę się pani do czegoś przyznać. Tak między nami. Cięży już mi ta rola dewotki. Ciężko tak żyć, modląc się pod figurą i mając diabła za skórą. Niewygodnie i nawet podrapać się nie można. I ciągle trzeba wstawać z kolan. Ileż można? Już się reumatyzmu nabawiłam.

– Nie tylko pani – przerwała jej druga. – W Internecie czytałam, że 9 milionów Polaków cierpi na reumatyzm od tego klęczenia. Ech, chciałoby się, żeby wreszcie było normalnie, jak na przykład w takiej Francji. My tu musimy obowiązkowo wstawać o 6 rano na roraty, a taki Francuz to się wtedy na drugi bok przewraca. Wstaje porządnie wyspany i jeszcze w nagrodę dostaje gorącą kawę i croissanty.

– Albo poranny seks – rozmarzyła się pierwsza – jak ta, no jak jej tam, o, Monika Richardson i Zbigniew Zamachowski. W „Życiu na gorąco” o tym czytałam.

– Co też pani wygaduje – oburzyła się druga – w pani wieku!

– Chciałoby się tak – marzyła dalej pierwsza – po południu obejrzeć spokojnie jaki serial, np. „Klan” albo i choćby „Koronę królów”, ale nie wolno, bo trzeba iść na majowe. Kiedy chciałam tak zrobić wczoraj, to od razu wnuczka zapytała: – A co, babcia chora, że w domu siedzi?

– Nie, dlaczego? – odpowiedziałam.

– Nie idzie babcia dzisiaj na majowe? – zdziwiła się wnuczka. – Nie można żyć szczęśliwie i beztrudnie, tylko trzeba cierpieć.

– Ech! – westchnęły zgodnie obie. – I ciągle nas straszą. Jak nie ogniem piekielnym, to uchodźcami.

– Na Zachodzie nie straszą, na Zachodzie przyjmują i się nie boją. Prawdziwi chrześcijanie.

– Cicho sza – lepiej głośno tego nie mówić. Słyszała pani kochana, co spotkało tego znanego aktora, jak głośno powiedział, że chce żyć w normalnym świeckim kraju?

– Nie, a co?

– W mordę dostał. Na ulicy. W biały dzień.

– Co pani powie?

– A tak.

– No to z Bogiem, kochana.

– Z Bogiem! Jak mówi ojciec Mateusz.

Pan Bóg to wszystko słyszał. Zrobił się cały czerwony ze wstydu.

– Co ja najlepszego zrobiłem?

Bóg złapał się za głowę.

– Ale bałaganu narobiłem. Mało tego, że od lat mam problem z trzema wojującymi ateistami: Richardem Dawkinsem, Christopherem Hitchensem i Danielem C. Dennettem, którzy robią krecią robotę i odciągają rzesze ludzi od wiary i Kościoła skutecznie, to jeszcze sam narobiłem bigosu. Wszystko przez nadmierną szczerłość. Po co ujawniałem, że mnie nie ma? Większość ludzi by się nie zorientowała. A ciemny lud wszystko kupi. Ludzie nie akceptują prawdy, wolą żyć w kłamstwie, być oszukiwani. Już starożytni Rzymianie powtarzali: „Świat lubi być oszukiwany, więc oszukujmy go”. Niczego się nie nauczyłem przez te tysiące lat. Na przyszłość muszę uważać; no i słuchać ludzi, wsłuchiwać się w ich potrzeby. Skoro większość ciągle chce i nie dorosła jeszcze do wiedzy, że mnie nie ma, to muszę być. Nie ma rady. A teraz muszę przywrócić porządek w świecie. W końcu nawet Bóg powinien uczyć się na błędach.

Z b i g n i e w N o w i c k i

Ze zbioru: Zbigniew Nowicki. *Jam to, nie chwając się, uczynił*. Wydawca: druk-24h.com.pl, Białystok 2018.

BEZDOMNY

Może jednak zadzwonić po policję? Przecież on tam zmarznie. Przecież już jest 4 stopnie na minusie. I ciągle spada. Za zimno, żeby spać na dworze. A jest dopiero 18.00. W nocy będzie jeszcze zimniej. I jeżeli nie zmarznie, to zmarznie, to się przeziębii, rozchoruje i jak się będzie leczyć, jeśli się tu ukrywa? No, ale przecież prosił mnie, żeby nie wzywać żadnej policji, przekonywał, że nic mu nie będzie, że mu ciepło. Przecież ma dwie koldry, na jednej leży, drugą się przykrywa, ma gruby sweter i kurtkę, i przynoszą mu ludzie gorącą herbatę i czasem gorącą zupę, i jest mu tu dobrze, leży sobie, nikomu nie zawadza, to co komu przeszkadza, że tu leży, i po co policja. No tak, Stefan pamięta, że tamten prosił go, by nikogo nie informował, że on tu leży. A zupełnie przypadkiem Stefan dowiedział się, że on tu leży. Tylko dlaczego ciągle leży? – zastanawiał się. Nie wstanie, nie pochodzi, jeśli jest zdrowy. Jak mu się tak nie nudzi leżeć? No i ciągle wacha te smrody. Przecież tu śmierdzi, no bo jak śmieci mogą nie śmierdzieć? Ale tamten przekonywał go, że nic nie śmierdzi, bo jest zima, więc i nic się nie zdąży rozłożyć i zaśmierdzieć, a już przyjeżdża śmieciara i zabiera wszystko. A czasem zanim przyjedzie ta śmieciara, on zdąży wyciągnąć z tych śmieci albo kawał chleba całkiem jeszcze dobry, albo jakiś ciepły sweter, trochę rozciągnięty co prawda, no to co, ale ciepły, ot choćby taki jaki ma na sobie, czasem nawet kawałek kielbasy się znajdzie, nie wiadomo dlaczego przez kogoś wyrzuconej, bo przecież wcale nie jest popsuta. Może komuś przejadła się kielbasa, to wyrzucił. Albo komuś nie smakowała, bo za tłusta. A on, owszem, lubi tłustą, tłuszcz przecież konserwuje, dostarcza kalorii, no i jak człowiek poje czegoś tłustego, to mu cieplej. Przecież pan wie – mówił do Stefana – że w wojnę słonina była rarytasem, a teraz ludzie pogardzają słoniną, że niezdrowa, że podwyższa cholesterol. Ludzie mają teraz za dużo wszystkiego. Jak tu leżę, to widzę, ile rzeczy wyrzucają, ile chleba, innego jedzenia, na przykład resztek z obiadu – jakiś niedojedzony kotlet, ziemniaki, kluski – a to śląskie, a to leniwe, albo zwykły makaron z sosem czy z serem, surówki, całe zestawy obiadowe! Tylko nie zawsze można się tym poczęstować, bo wywalają to wszystko byle jak i zaraz to się miesza z innymi śmieciami i trudno coś wybrać. Pan pewnie się dziwi – mówił dalej do Stefana – że ja czasem coś z tego wybiorę i zjem, ale co w tym dziwnego? Pan by się brzydził, a w wojnę to by były rarytasy i nikt by się nie brzydził. Ale w wojnę nie wyrzucali ludzie jedzenia, nic nie wyrzucali.

– Przecież pan nie wie, jak było w wojnę, pan urodził się po wojnie, jeszcze pan nie stary, młodszy ode mnie – przerwał mu Stefan – to co pan tak ciągle o tej wojnie. Wojna dawno minęła, chwala Bogu, ludzie żyją inaczej. Ja jeszcze trochę pamiętam wojnę, jak było powstanie, miałem pięć lat i parę sytuacji już chyba nigdy moja pamięć nie wymaże, choć wydawałoby się, że za mały byłem wtedy, by to zapamiętać, ale pan?

– I co z tego, że urodziłem się po wojnie, bo tak, ma pan rację, że urodziłem się po wojnie, 10 lat po wojnie, ale ile ja wiem o tej wojnie, a może nie tylko o tej, a o każdej wojnie, żeby pan wiedział, ile ja wiem!

Stefan był wyraźnie zaskoczony. To kimże on jest, że tak dużo wie? Historykiem jakimś czy co? Ale historyk, człowiek wykształcony, czy koczowałby tu, na śmietniku, chociaż ten śmietnik to jak jakaś chatka, ma murowane ściany, blaszany dach, a śmieci nie walają się po ziemi, tylko leżakują w specjalnych pojemnikach i to oddzielnie szkło, plastik, papier, produkty biodegradowalne. Wszystko posegregowane, bo takie jest zarządzenie, a co z tym dalej? Stefan bardzo starannie segreguje śmieci, ale ten bezdomny właśnie wtedy, gdy szklana butelka po oleju spadła mu na głowę, zaklął paskudnie i powiedział do Stefana, że jest głupi, że tak się przejmuje tym segregowaniem, bo widział nie raz, jak przyjeżdża śmieciara i zsypuje wszystko razem. Wtedy właśnie Stefan odkrył, że za jednym z takich pojemników leży ten mężczyzna i przeprosił go, że tak niezdarnie wyrzucał szkło, ale na szczęście nic się nie stało, butelka nawet się nie potłukła, a bezdomnemu zrobił się tylko na czole niewielki siniak. I wtedy, kiedy tamten zaklął, Stefan poczuł się winny i chciał jakoś zaradzić sytuacji tamtego, którą uznał za dużo gorszą od swojej, zaproponował mu więc, że poinformuje policję, że przyjadą i pomogą mu, bo od tego są, zawiozą go do jakiegoś ciepłego locum i może znajdą winnych, przez których stał się bezdomnym i marznie

tutaj na śmietniku. Może ci winni powinni być ukarani. Policja już będzie wiedziała, co zrobić, do jakich instytucji zgłosić sprawę. I ta propozycja Stefana zirytowała tamtego.

– Gdybym chciał, sam zgłosiłbym się na policję albo do odpowiedniego urzędu – powiedział szorstko. – Wiem przecież, gdzie się udać. Wiem, że są noclegownie dla bezdomnych. Pan chciałby tam się znaleźć?

– No, chyba lepiej byłoby tam niż tu – Stefan tak naprawdę nie wiedział, gdzie byłoby lepiej, bo i skąd? Na szczęście nigdy nie musiał tego doświadczać. Po śmierci żony, czyli od 20 lat mieszka sam w blokowym M-3, jest mu ciepło i wygodnie i w zasadzie niczego mu nie brakuje. Ale czy jest szczęśliwy? Sam nie wie. Syn mieszka w innym mieście, ma swoją rodzinę. Jest mu dobrze, więc o syna nie musi się martwić. W zasadzie o nic już teraz nie musi się martwić. Tylko czy jest szczęśliwy? Nie lubi zastanawiać się nad tym. Zdrowie jakoś dopisuje, dopóki nic nie boli, jest dobrze. A tamten mu wtedy wygarnął: głupi pan jest. Byłem w noclegowni i uciekłem. I jeśli pan w Boga wierzy, niech mi pan na Boga przyrzeknie, że zostawi mnie pan w spokoju.

Stefan wierzył w Boga i nie miał wyjścia – przyrzekł. I obiecał, że przyniesie mu czasem coś ciepłego do jedzenia czy co tam będzie potrzebne. No bo jak tak zostawić człowieka na tym zimnie? Wrócił do domu, ale nie włączył telewizora ani komputera, jak to zwykle czynił, żeby dowiedzieć się, co przez ten czas wydarzyło się w polityce lub w sporcie. Namyślnie oglądał mecze tenisowe, uwielbiał snookera, śledził polityczne posunięcia rządu i opozycji. Miał zdecydowane polityczne poglądy. Te sprawy pochłaniały mu sporo czasu. No i dobrze, bo co robić z czasem na starość, gdy się mieszka samemu i nie ma już żadnych obowiązków? Codzienne spacerowanie, basen dwa razy w tygodniu – to za mało, by mieć poczucie dobrze zagospodarowanego czasu. A swoją drogą, czy trzeba mieć takie poczucie? Może starość to czas na wyzbycie się poczucia winy względem niewykonanych zadań, to czas na powolne wyzbywanie się zadań? Zostaje ich coraz mniej i mniej, a i tak jeszcze za dużo dla starego człowieka. I wbrew pozorom czasu za mało, by im podolać. Bo czas na starość jest inny niż czas w młodości. Nie rozciąga się, tylko kurczy. Cóż się dziwić, że zaczyna go brakować? Wkrótce braknie go zupełnie i nieodwracalnie.

Tego dnia, gdy spotkał tamtego za pojemnikiem na śmieci, nie włączył ani telewizora, ani komputera. Otworzył lodówkę i przepatrzył półki. Było wszystko, czego potrzebował – marchewka, pietruszka, seler, por. W zamrażalniku porcja kurczaka. Była też w szafce napoczęta paczka makaronu. Będzie rosółek – ucieszył się. Zaniósł mu gorący rosółek. To go na pewno rozgrzeje. Nie wiem, jakie on zupy lubi, ale rosół każdy lubi. I rosół najbardziej rozgrzewa. Tylko dlaczego ten bezdomny jest bezdomnym? Jak to się dzieje, że ludzi spotyka taki los? I dlaczego on tak o tej wojnie? Przecież nie przeżył jej, a tak o niej... Powiedział: przecież wciąż na świecie toczą się wojny; jak się przeżyje jedną, wie się już wszystko o innych. Tak powiedział. Ale przecież nie przeżył wojny, za młody. A może... no tak... skoro on tak o tych wojnach... skoro drugiej światowej przeżyć nie mógł, bo za młody, to może... Afganistan... Stefan wiedział, podawały media, że wracający z Afganistanu musieli często korzystać z pomocy psychologów, że nie radzili sobie z traumą, której doświadczyli. Bo słyszeli o wojnie, o drugiej światowej, o poprzednich, o tych, które się toczą teraz gdzieś tam, bo wciąż się gdzieś tam toczą, ale słyszeć o wojnie a być na wojnie, to przepaść. W ich kraju spokój, rodzina, praca, różne obowiązki, wstawanie, chodzenie spać, narzekanie, cieszenie się z czegoś tam, ale spokój. I wydaje się, że na całym świecie tak jest, chociaż się wie, że tak nie jest, że gdzieś tam bomby, śmierć, ból... Dzisiaj, właśnie dzisiaj, gdy się je kolację, gdy się ogląda telewizję, gdy się czyta książkę albo pije piwo z kumplami, gdzieś tam bomby, strzelanina, walące się domy, krew i śmierć, i ból... Czy to możliwe? Więc niektórzy jechali do tego Afganistanu, a jakby na wycieczkę, zadowoleni, że zobaczą trochę świata, przyjadą, poopowiadają, na dodatek zarobią niezły grosz i rodzina dzięki temu odżyje, ustawi się. Bo to takie nie do pojęcia, że można wyjechać z jednego miejsca, gdzie jest pokój i życie toczy się jak życie, raz lepiej, raz gorzej i za ileś tam godzin znaleźć się w miejscu, gdzie życie walczy o życie, gdzie śmierć jest codziennością, jak życie. I nie mieściło się w głowach tym, którzy wyjeżdżali, że mogliby nie wrócić. Ale niektórzy nie wrócili, choć rodzina, owszem, pieniądze dostała, ale co pieniądze... A ci, co wrócili żywi, to już często nie potrafią żyć. Może i ten bezdomny? Przecież to nie jest zwykły menel – rozmyślał Stefan. – Mówi mądrze, waży słowa i wyraźnie się odczuwa, że skrywa jakąś tajemnicę. Może tu, za tym pojemnikiem na śmieci czuje się nareszcie bezpiecznie?

Rosół wyszedł niezły, przynajmniej tak się Stefanowi wydawało. Dosypał pieprzu. Pieprz jest zdrowy, poprawia trawienie, rozgrzewa. Pozostało ugotowanie makaronu i będzie mógł uraczyć tamtego świeżą, domową potrawą. Jeszcze tylko chwila...

Zawinął słoik z rosółem i sporym kawałkiem mięsa w gruby ręcznik, żeby nie uciekło ciepło, w plastikową miseczkę nałożył makaronu, zabrał najładniejszy głęboki talerz, łyżkę i zapakował do torby z radością, że i tamtemu sprawi radość. Niech zje godnie, chociaż na śmietniku. Zresztą, czy o godności człowieka świadczy to, gdzie je? Stefanowi wydawało się, że tamten jest kimś wyjątkowym, a on tylko zwykłym starym mężczyzną, któremu wystarcza ciepłe mieszkanie i to, że nic nie boli. A przecież był inżynierem, liczonego się z nim kiedyś w zakładzie pracy, opracowywał ważne projekty, był przewodniczącym związku zawodowego. Nie zmarnował życia. Czemu więc to jego życie jakoś spłaszczło się, bladło, gdy rozmyślał o losie bezdomnego? Schodził po schodach ostrożnie, żeby nie potłuc słoika i talerza. Do śmietnika nie było daleko.

– Proszę pana, przyniosłem obiadek, sam ugotowałem – zagadnął, ale tamten nic nie powiedział. Podniósł się z barłogu i wyciągnął rękę. Stefan podał mu talerz i przelał do niego rosół ze słoika.

– Po co tyle ceregieli, mogłem zjeść ze słoika – skwitował starania Stefana bezdomny.

– Ale tak będzie się panu wygodniej jadło – Stefan nie chciał wyjawiać, że zależało mu na tym, aby tamtemu było nie tylko wygodniej, ale żeby i estetyczniej, przyjemniej, domowo. A później pomyślał, że przecież to śmieszne, jak można oczekiwać czegoś takiego na śmietniku? Bo chociaż są ściany i zadaszenie, i śmieci znajdują się w pojemnikach, nie walają byle gdzie, to jednak to śmietnik.

Bezdomny jadł w milczeniu i Stefan też milczał. Zauważył tylko, że tamten nie chlipie, nie mlaska, nie spieszy się. Ten facet ma jednak klasę – pomyślał. Dlaczego spotkał go taki los? To „dlaczego” dopadało go wiele razy i w następnych dniach, gdy przynosił bezdomnemu jedzenie lub gdy myślał o nim w domu i na spacerze. A myślał wciąż. Budził się rano i już jego myśli biegły ku tamtemu – czy jeszcze jest, czy nie zmarł, czy nie jest głodny i jak mu się nie nudzi tam tak leżeć, przecież mówi, że nie jest chory, to mógłby iść na spacer, a nie idzie, bo ile razy Stefan przynosi mu jedzenie czy choćby gorącą herbatę, on tam leży. A gdzie załatwia swoje potrzeby, gdzie się myje? I tak od ponad tygodnia w myślach Stefana tamten i tamten. Raz nawet próbował go zagadnąć na ten temat. Niby to zapytał, niby to stwierdził i niby to nie było skierowane wprost do tamtego, ale miało być jakąś refleksją ogólniejszej natury:

– Dziwnie układają się ludzkie losy. I jak to się dzieje, że nagle ktoś zostaje bez dachu nad głową? I jak to się dzieje, że inni mają tego dachu za dużo?

Tamten jednak wyraźnie nie miał ochoty wdawać się w dyskusje. Wiedział zresztą, że Stefan do niego pije, że jest ciekawy jego losu i to go zirytowało. Powiedział tylko:

– Niech się pan cieszy, że ma pan swój dach.

Stefan nie chciał uchodzić w oczach tamtego za człowieka, któremu się żyje wygodnie i który nie ma problemów. Żeby zmniejszyć dystans pomiędzy sobą a nim, żeby może tamtemu było nieco różniej, bo to zawsze różniej człowiekowi, gdy się dowie, że inni też nie mają lekko, powiedział:

– No mam, ale pod tym dachem co? Też nie to, co chciałbym. Też jakiś brak i nie zawsze nawet wiadomo, czego.

Ale tamten powtórzył tylko:

– Niech się pan cieszy, że ma pan swój dach.

I Stefan wrócił pod swój dach, rozmyślając o tamtym. I z tym natrętnym „dlaczego?”. Przecież to nie jakiś alkoholik, nigdy nie było przy nim puszek po piwie ani butelki po wódce. Nigdy nie poczuł od niego alkoholu. Więc dlaczego? I co mu na jutro ugotować? Zupa dyniowa! Będzie zupa dyniowa! Przecież tę potrawę potrafi przyrządzić wyjątkowo dobrze. Wszystkim smakuje. Gdy przyjeżdża syn z wnukiem, zajądają się tą zupą właśnie. Smakuje siostrze i siostrzeńcowi, i dzieciom siostrzeńca. Gdy czasem odwiedzi go kolega w sezonie jesiennym, też częstuje go tą zupą. I też mu smakuje. Będzie więc smakować i tamtemu. I usmaży jeszcze placuszki z dyni. Też mu dobrze wychodzą. W sklepach można jeszcze dostać dynię. I na rynku. To warzywo może długo leżakować. Spojrzał na termometr – temperatura podnosiła się, chociaż był początek grudnia. Takie anomalie pogodowe już przestały go dziwić. Pewnie znów na Boże

Narodzenie nie będzie śniegu. Trudno, ale przynajmniej tamten nie będzie marzył. Trzeba zrobić zakupy. Ubrał się lekko i szło mu się lekko. Miał konkretny cel, konkretne zadanie. Tym razem spacer sprawiał mu wyjątkową radość.

I była zupa dyniowa, i były placuszki z dyni, słodkie, chrupiące, ale nie było tamtego. Na miejscu po jego legowisku został tylko brudny sweter i plastikowy kubek. Gdyby zostały kołdry, Stefan pomyślałby z zadowoleniem, że tamten nareszcie postanowił się przejść. Ale nie było kołder i Stefan wiedział, że bezdomny już się nie pojawi. Co zrobić z zupą dyniową i placuszkami? Zabrać do domu? Zjeść samemu? Przecież to było dla tamtego. Placuszki zostawił na zewnątrz śmietnika. Pewnie jakiś pies zje – pomyślał. Zupę wylał obok. Wsiąknie w ziemię, zaczyna padać, więc deszcz ją wbije w trawę, użyźni kawałek gleby – pomyślał. Pusty słoik wyrzucił do pojemnika na szkło. Talerz i łyżkę schował do torby i poszedł na swój rytualny spacer. I szedł tymi samymi ulicami, jak zawsze. I mijał te same domy i drzewa, jak zawsze. I miał wrażenie, że mija tych samych ludzi. I szedł. Tylko tym razem – bez celu.

Barbara Gajewska

Rafał Orlewski

DZIESIĄTY LIST

Otrzymałam list, a w nim zdanie, że pewnemu poecie ponoć spodobał się jeden z wierszy, które wysłałam przed miesiącem na turniej poetycki. Czytałam w kółko to zdanie i nie potrafiłam nazwać tego, co czułam. Nigdy dotąd nie doświadczyłam czegoś takiego. Odruchowo, zdaje się, spojrzałam w lustro – moja twarz była inna, ta sama a inna, jakby ją przesłoniła mgielka unosząca się z tej wiadomości.

Nienaturalnie drżącymi palcami odgarnęłam włosy z czoła i ten gest przywrócił mi zwyczajność. Poczułam się pewniej. Postanowiłam napisać, podziękować. Krótko, na kartce z podręcznego notesu. „Jeśli nie sprawiłoby panu kłopotu odpisanie – kończyłam – byłabym bardzo wdzięczna. Dziękuję”. Mój adres. Podpis.

Wrzucając list do czerwonej, a raczej brudnoczerwonej skrzynki uświadomiłam sobie, że jest wiosna. Jakbym nagle weszła w jej oddech. „To oczywiste – powiedziałam do siebie – kwiecień się kończy!”

Mijał drugi tydzień, odpowiedzi nie było. Widać nie chciał jej udzielić – pomyślałam jakoś urzędowo. Wracałam w majowe popołudnie z pracy, coraz niechętniej zaglądając do pustej skrzyneczki na drzwiach. Ale w ten poniedziałek – miłe rozczarowanie: jest! Drobne, nerwowe pismo. Proszę bardzo, on, jako że niekiedy bywa poetą, chętnie wyrazi swoje zdanie o moich wierszach. Przestrzega jednak, że to może być przykre, za to prawdziwe, szczerze. Prosi o napisanie coś niecoś o sobie. Pozdrawia.

Nazajutrz piszę. Najpierw, że zwątpiłam w otrzymanie listu, który był wysłany natychmiast, jeszcze w kwietniu, ale wiadomo – nasza poczta potrzebuje dwóch tygodni, aby list zdołał przebyć kilkadziesiąt kilometrów drogi... Potem spełniłam prośbę, tę o sobie. Otóż – co może o sobie napisać dwudziestoletnia dziewczyna, niedoszła studentka wyższej uczelni plastycznej? Że podjęła niezbyt ciekawą pracę urzędniczą – dobrze, że i taka się znalazła w tej dziurze! Że za rok ponowi próbę startu po indeks i może dopisze jej szczęście? Wystarczy. Przecież nie wiem, komu się spowiadam. Więcej mogę o moim „pisanium”. Od trzech lat piszę pamiętnik, raczej dziennik, wierszy jest niewiele, a jak już się zdarzają, to na skutek jakiegoś przeżycia. Najwięcej mam takich, które nie wynikają z wielkich przeżyć (och, jakie wówczas palnęłam głupstwo!), gdyż to są wiersze o mamie i dla mamy. Chcę je zebrać, połączyć elementami plastycznymi i oddać w jej ręce (napisałam sucho: w ręce adresata...). Dalej zwierzam się, że jako podlotek spłodziłam dziewiętnaście rozdziałów „powieści”, która zdążyła jednak zniknąć, niedokończona. Teraz też kończę, dziękuję za list i łączę pozdrowienia. Nie wiem, dlaczego się nie podpisuję. Zaklejam kopertę bez zwrotnego adresu.

Dzisiaj, po dziesięciu napisanych i prawie tyluż otrzymanych listach muszę otwarcie przyznać, że ten mój drugi list stanowił wystarczający powód, żeby mi nie odpisać. Nie chodzi nawet o ten nieszczęsny brak podpisu. Zachowałam się jak zbiurokratyzowany urzędnik wobec petenta. Owszem, mogłam sobie tłumaczyć, że przecież nie wypada ni stąd ni zowąd się zwierzać – a taka dziewczęco-kobieca nieufność to moje szczególne prawo. Pozostaje jednak faktem, że list był suchy, odpychający, a przede wszystkim mógł wywołać uśmiech politowania: chce pisać wiersze, a nie potrafi zaciekać listem...

Lecz oto trafiłam na kogoś, kto się nie zraża nawet taką ignorancją. Następny jego list zaskoczył mnie całkowicie, bowiem poeta dołączył tomik swoich wierszy – z osobistą dedykacją dla mnie. Trzeba być tak sztubacko nierozsądną jak ja wówczas, by choć nie przeczuć wyjątkowej okazji: nawiązania korespondencji z poetą. Sliczne wiersze! Odpisałam szczerze, że jestem uszczęśliwiona, ale czym będę mogła się odwdziaczyć, choćby w znikomej części? Dołączyłam kilka swych wierszowanych prób z prośbą o ocenę i zapewniłam, że jeśli on nie zmieni zdania, to ja pragnę kontynuować listową znajomość.

Każda decyzja ma swoje konsekwencje. Wiem teraz, że moje „tak” było szczęśliwe, a jednak jego trzeci list wytrącił mnie z równowagi. Wierszyki zostały ocenione ostro, bez taryfy ulgowej, jakbym zamierzała je drukować. Coś z mocnego uderzenia, piekący klaps. Prosiłam o szczerść, prawda, lecz niektóre jego sformułowania wydały mi się krzywdzące. Oczywiście miał rację, pisząc, że moje wierszyki są pełne oklepanych, obnoszonych, wytartych słów i zwrotów. Czy jednak można mnie posądzać o „brak siebie” w wierszach, nazwać te wiersze ściągami? Pisząc „Niebo usnute gwiazdami, płynące w kałużach” chciałam powiedzieć, że i niebo, i łąki, i las, i krople deszczu chcę podarować matce. Naprawdę chcę, żeby niebo było pełne gwiazd, łąki kwiatów, las zieleni. Banalne to, wiem, ale proste i prawdziwe. Tu właśnie jestem sobą, bo chcę dać komuś „łąki pełne kwiatów” i tak samo to zapisuję. Myślę i czuję jak piszę: „Ojczyzna to nasz dom”. A poza tym nie starałam się niczego odkrywać – moje wiersze będą czytane co najwyżej w wąskim gronie osób, dla których powinny być zrozumiałe.

Poeta zbulwersował mnie jeszcze czymś. Wybrał wiersz LAS i przedstawił go w swojej wersji. Powstał utwór piękny – mój, a przecież nie mój. Czytałam go chyba ze sto razy, nie mogąc uwierzyć, że kiedykolwiek tak napiszę. Odpisałam, że nie mogę się pod tym tekstem podpisać, bo moja wersja jest tylko marnym szkieletem, a ta – to już jego wiersz. Dodałam kilka następnych tekstów, opatrując je uwagą, że chyba bez sensu jest to moje pisanie.

Oba komentarze okazały się nieopatrzone. Poeta się zdenerwował. Kategorycznie stwierdził, że LAS nie jest i nie może być jego utworem, o czym łatwo mogę się przekonać choćby przez analogię z wierszami wchodzącymi w skład podarowanego mi tomiku. Spreparowanego drugiego wariantu mojego tekstu nie muszę uważać za swój, gdyż był to tylko przykład, jak z pierwszej wersji mającej w sobie „coś” można zrobić dobry wiersz, jeśli się nad nim popracuje. A w ogóle powinnam ten drugi tekst wyrzucić do kosza! Mało – mój korespondent zobaczył mnie jako osobkę ze ściągniętymi brwiami i tak zwanym charakterkiem!

Powinnam była nie tylko LAS, ale i wszystkie jego listy wrzucić w piec i w ten sposób zakończyć tę dziwną rozmowę na odległość. Nie zrobiłam tego, co więcej – zmusiłam się do napisania kolejnego, bynajmniej nie zdawkowego listu, w którym próbowałam wyjaśnić zaistniałe nieporozumienie, przekonać go o tym, że nie jestem uparciuchem, nie wyrzucę LASU, choć nie uznaję go za swój. Chciałabym kontynuować naszą korespondencję. Dziś nie wysyłam wierszy, ale jeśli mogę prosić o uwagi do poprzednich, mieć jakąś nadzieję, będę wdzięczna...

Niełatwo mi to przyszło. Pierwsze zdanie tego listu pisanego podczas ciepłego, lecz zachmurzonego, czerwcowego popołudnia świadczyło o mojej bezradności: „Proszę pana – zupełnie nie wiem, co napisać...”

Mój Boże, stał się cud! Jego następny, bodaj czwarty list był wspaniały. Po przeczytaniu kilku akapitów (zawsze pisze długie listy) poczułam się śmielsza i wiele zrozumiałam. Odpisując, zrewanżowałam się życzeniami: dużo, bardzo dużo słońca. Dopiero wtedy dotarło do mojej świadomości, że jego list, tak ciepły i krzepiący, został napisany w czasie urlopu, który poeta spędzał nad mazurskim jeziorem Pluszne. Nie pytałam, ale przyszło mi na myśl, że jego reakcja na mój emocjonalny list – taka piękna reakcja – była rezultatem powrotu do naturalnego środowiska,

bez którego poeta (pisał mi o tym), rozmieniany na drobne przez pędzącą codzienność, czuje się nie lepiej niż ryba bez wody.

Wyobraziłam go sobie, jak chłonie ciszę leśnego otoczenia, napawa oczy i duszę blaskiem drżącej powierzchni jeziora i gęstą zielonością bujnej i nieskażonej flory, czasem wsiada na niewielką łódkę i wolno wiosłuje, cytując wiersze... komu? sobie? żonie? Złapałam się na niedorzecznej myśli, że chciałabym tam z nim być... Ta myśl popsowała mi spokój, byłam zła na nieokreślone „wszystko”, wypowiedziałam do mamy idiotyczną pretensję o to, że nie mam urlopu, na co ona logicznie odparła: – Przecież urlop przysługuje po roku pracy. No tak – przyznałam z niemądrą miną, ale ulgi mi to nie przyniosło. A wieczorem miałam ochotę pójść gdzieś na zakrapiane alkoholem szaleństwo, co jednak skończyło się dużo wcześniej niż zwykle pójściem spać.

Czekając (tak, tak, nie da się ukryć!) na następne listy, coraz częściej próbuję pisać wiersze, stosując się do jego rad. Czytam każdą jego myśl o zmaganiu się ze słowem, o pracy nad każdym już zanotowanym wersem, o tym, że trzeba wyrażać siebie, swój sposób widzenia i kreowania rzeczywistości poetyckiej. To pasjonujące, ale piekielnie trudne. Znacznie łatwiej widzieć i odczuwać, zwłaszcza gdy ma się w sobie choć trochę wrażliwości, ale przetworzyć to słowami na swój sposób? Wiem – trzeba talentu i pracy. Moja chęć do takiej pracy rośnie, lecz co z talentem, mam go troszeczkę, czy to tylko złudzenie? Zdumiewa mnie cierpliwość tego nigdy niewidzianego przeze mnie człowieka, który konsekwentnie wyluskuje fragmenty już udane, świeże i czyste – jak to nazywa, radzi inne dopracować, pokazując przy tym krytycznie, ale już łagodniej, co w tych próbach jest słabe, nijakie, mimowolnie wtórne... Zdumiewa mnie nie tylko on – sama dla siebie bywam teraz zaskakująca. Oł, choćby z tym do niedawna, lecz uporczywie powracającym leitmotiwem moich myśli o nim: jaki on właściwie jest? Czytam listy i mówię: poznaję go coraz bardziej. Odkładam je i stwierdzam: wiem o nim coraz mniej.

Muszę pana zganić – piszę znowu – bo mam wyrzuty sumienia, że przeze mnie, jakąś tam dziewczynę, pisze pan kawał w noc te mądre listy, a rano, zapewne z papierosowym kacem, biegnie do pracy: wiem już nie tylko od pana, że z pisania wierszy nikt w tym kraju się nie utrzymuje. Więc jeśli pan ma trochę litości dla mnie, proszę odłożyć pisanie listu na przykład na następny dzień – nie na następną noc, broń Boże!

„Bezblędnie! Ten wiersz mógłby być wydrukowany”. Nie wierzę własnym oczom: kilka linijek, a on je tak ocenił! Boję się w to uwierzyć, ale... czy aż tak mógłby się pomylić?

W sierpniowym numerze znanego tygodnika – jego wiersze. Piękne. Przeczytałam jednym tchem, a potem dokładniej, chłodniej. Zrobiło mi się przykro. Dlaczego w nich tyle żalu i bólu, może nawet strachu, jasne, że to wszystko nie powiedziane wprost, ale wyczuwalne jak puls. Proszę pana, trzeba cieszyć się każdym dniem i nie z trwogą, a z radością oczekiwać dnia następnego – będzie lepszy i piękniejszy od poprzednich. Pan musi żyć, długo żyć, by uczyć innych, mnie. Musi pan pisać, bo – ja tego bardzo, bardzo pragnę! I będzie pan pisał do mnie. Listy przechowuję, są, istnieją, zajmują specjalne miejsce. To najpiękniejsza kolekcja spośród tych, jakie kiedykolwiek otrzymałam.

Mogę je czytać jak mądrą i uroczą książkę, od początku do końca, bez chwili wytchnienia. Niecierpliwie czekam na ostatni list pierwszej dziesiątki, wówczas przeczytam je wszystkie naraz. Przeczytam? Przeżyję!

Właśnie piszę mój dziesiąty. Tym razem nie dołączam swoich poetyckich miernot. List jest krótki jak miesiące naszej korespondencji. Ale jest to czas ogromny, wiek, a równocześnie chwila, w której zastygł cały kosmos czekania na jeden pełgający płomyk nadziei. Ciekawam refleksji pana z analogicznej „zbiorczej” lektury. Napisze mi pan o tym?

Czekam, czekam, czekam... To już nie opieszałość poczty. Nie mogę, jeszcze nie mogę uwierzyć, że czekam na próżno. Coraz natrętniej atakują mnie minuty zwątpienia. Wtedy jest mi źle, jakby mnie kto dusił. Jakbym nagle się postarzała. Budzi mnie zły sen, za którym migocą punkciki gwiazd na niezmiernym niebie. To twoje listy, poeto. Jest ich tylko dziewięć, gdzie jest ten dziesiąty, czemu go nie znajduję? Przecież go pan napisał, na pewno napisał. Kto go otrzymał, kto popełnił na mnie to okrucieństwo?

Prostokąt okna. Bez słońca wypisanego moim oczom – sercem poety na prostokątnych kartkach. Okno: płaszczyzna srebrnego chłodu. Wstaję. Zza szyb wita mnie czerwieniejący świt. Narodziny kolejnego dnia, w którym znów wyobrażę sobie nierealny dziesiąty list.

Mój poeta okazał się snem. Niestety – rzeczywistym.

Czuję się jak dogasające ognisko – zła jestem na siebie za to porównanie: jak najszybciej uciec od poezji! W drodze do biura kupuję miejscowy tygodnik, zwijam go i wpycham do torby. Około dziesiątej przychodzi chwila luzu, podstawowy rozdzielnik dokonany, konieczne telefony załatwione. Zalewam wrzątkiem herbatę, rozkładam tygodnik i bez większego zainteresowania przebiegam wzrokiem po tytułach. I nagle świat zawirował jak opętany, co ja mówię – to był niewyobrażalny wybuch słońca!

– Co pani jest? – jak z dna echa dochodzi mnie głos kierownika.

– Nic, nic, to tylko... – dukam i czuję, że moja twarz, że cała jestem w ogniu. Szef stoi przede mną z przestachem w oczach.

– To niemożliwe! – krzyczę i rzucam mu się na szyję.

– Co pani...

Jezu, mój szef, zawsze taki opanowany, czasem groźny, zbaraniał. Opadam na krzesło przy biurku i płaczę. Kierownik pochyla się nade mną, czuję jego oddech.

– No, gratuluję, nie spodziewałem się...

Podnoszę głowę, patrzę na szefa, a potem za jego wzrokiem na gazetę: dwa moje, naprawdę moje wiersze!

...Gdzie jesteś, mój mistrzu? Dlaczego nie napisałeś dziesiątego listu?

Rafał Orlewski

Tadeusz Ruciński

POWRÓĆMY JAK ZA DAWNYCH LAT... [2]

Nasza sąsiadka, po przeczytaniu dotychczasowego tekstu, stwierdziła, że brakuje jej wspomnień związanych z „domowym ogniskiem”, a konkretnie z urządzeniami do grzania. Przyznaję Jej rację. Wszak wyciągnąłem z pawlacza palnik od butli gazowej, ale odłożyłem go na bok, bez głębszego zastanowienia się. A jest nad czym podumać i powspominać. Wszak piec był w latach mego dzieciństwa najbardziej podstawowym elementem każdego domu i każdego mieszkania. Tak więc teraz będzie o grzaniu i gotowaniu.

Grzanie

Kuchnia w Łochowie. Prawie czwartą część jej powierzchni zajmuje duża, jak to Babcia nazywała, „płyta”. Rzeczywiście, na kaflowym trzonie leży duża metalowa płyta z czterema otworami, a w każdym otworze po pięć fajerek. Od frontu dwoje metalowych drzwiczek ze skobkami do zamykania. Dolne drzwiczki stanowią zamknięcie popielnika, a górne otwiera się wtedy, gdy trzeba dołożyć drewniek lub przegarnąć żar na ruszcie. Z drugiego boku trzonu podwójne drzwiczki do pieca chlebowego. Nad płytą, w części przylegającej do ściany, aż do sufitu wznosi się kaflowe przedłużenie trzonu z trzema szybrami. Każdy z szybrów służy do regulacji wielkości przepływu spalin do komina. Jeden, ten najdalszy, używany jest tylko wtedy, gdy rozpala się piec chlebowy, dwa pozostałe to tak zwane przez Babcie „letni” i „zimowy”. Nie znałem i szczerze mówiąc nadal nie znam zasad ich używania. Ich zamknięcia lub wysunięcia na stosowną odległość pilnowała Babcia i Mama. Ja z Siostrą mieliśmy surowy zakaz nawet ich dotykania.

– Jak się źle ustawi szyber, to można zatruć czadem całą rodzinę! – przestrzegala nas Babcia.

Dziś domyślam się, że „letni” szyber kierował gorące spaliny bezpośrednio do komina, a ten „zimowy” przepuszczał je przez kanały ogrzewające kaflową ścianę w sąsiednim pokoju?

W dole frontowej ścianki pieca znajdowały się jeszcze jedne małe drzwiczki. Co parę miesięcy i po każdej wizycie kominiarza zamykało się okno i drzwi w kuchni, Babcia wkładała stary fartuch i wąską szufelką wybierała sadze zgromadzone za tymi drzwiczkami. Zaraz po usunięciu sadzy wiaderko przykrywało się starą, wilgotną szmatą, a pomimo tych środków ostrożności po kuchni fruwały czarne drobinki.

Rozpalanie pieca to zarówno umiejętność, jak i łut szczęścia. Bywały dni, gdy wystarczyło kilka smolistych drzazeg, trzy-cztery cienkie polanka drzewa i jedna zapalka, aby ogień wesoło zaszumił pod fajerką. Ale bywały też momenty, gdy po kilkunastu minutach usiłowań kuchnia była pełna dymu, ręce usmolone do łokci, a płomieni nie było. Najczęściej zdarzało się to w jesienne, deszczowe i mgliste dni, gdy wiatr z szumem „wpadał” do komina. Awaryjnie do rozpalenia pieca używano się wtedy nafty lub denaturatu, ale gdy i tak radykalne środki nie pomogły, trzeba było obyć się bez gorącego śniadania. Obiad trzeba było jednak ugotować, a gdy dodatkowo nie było elektryczności, na płycie stawał naftowy, przedwojenny prymus.

Piękny, z błyszczącym, mosiężnym zbiornikiem i ozdobną galką pompki. Najpierw trzeba przetkać palnik specjalną igielką na blaszonym uchwycie, następnie sprawdzić ilość nafty w zbiorniku, a potem do miseczki pod palnikiem wlać odrobinę denaturatu i zapalić. Gdy płonąca denaturat nagrzał już główkę palnika i zaczynał wygasać, trzeba było ostrożnie podpompować i otworzyć zawór. W tym momencie prymus najczęściej „zaskakiwał”, pojawiał się początkowo żółtawy płomień, który wkrótce zamieniał się w jasnoniebieski. Prymus zaczynał w charakterystyczny sposób warczeć i w kilka minut mógł zagotować wodę w czajniku. Oczywiście bywały momenty, że urządzenie w trakcie rozpalania buntowało się, że zbyt mało nagrzanego palnika tryskał wtedy strumyk nafty, dając półmetrowy jezor płomienia, lub brudna nafta co parę minut zatykała dyszę. Gdy natomiast był prąd, z pomocą prymusowi szła kuchenka elektryczna. Było to w latach 50-tych urządzenie na tyle nowoczesne, że zapraszałem kolegów ze szkoły, aby pokazać im to чудо. Maszynka miała szamotową płytkę ze ślimakowo ułożoną, odkrytą spiralką grzejną. Wystarczyło, że wykipiła odrobina zupy lub mleka, aby spiralka z charakterystycznym błyskiem przepaliła się, najczęściej wraz z wysadzeniem korków. Chyba właśnie od czasu naprawy uszkodzonej maszyny datuje się moje „remontowe” hobby?

Gdy trzeba było nagrzać tylko kubeczek wody, na przykład dla babcinych ziółek, używano się maszyny spirytusowej. Do jej podstawki wlewało się nieco denaturatu, ustawiało niewielki kwadratowy ruszt, zapalało i „voilà”, za parę minut ziółka były gotowe.

Dla większej ilości gości, którzy chcieliby wypić herbatę w Łochowie, był samowar. Oczywiście żartuję, bowiem samowar był, ale po dwóch próbach jego uruchomienia wrócił na strych. Sam samowar był piękny, złocisty, z finezyjnym kurkiem, ozdobnymi uchwytami i miedzianą tacą. Pochodził z Rosji, tej carskiej i chyba na skutek długiego żywota zaśniedział w środku, bowiem Babcia stwierdziła, że wrzątek stracił swój smak. Uczestniczyłem w próbie jego rozpalania. Najpierw trzeba było napełnić zbiornik, a wchodziło do niego prawie wiadro nagrzanej wcześniej wody. Potem, przez centralną rurę, na ruszt paleniska wrzucało się kilka wyjętych z pieca rozżarzonych węgli, przykrywając je kawałkami węgla drzewnego. Węgiel ten dostaliśmy z pobliskiej terpentyniarni. A potem razem z Tatą dmuchaliśmy przez dziurki paleniska, aby całość rozżarzyła się. Długo to trwało, mieszkanie, pomimo otwartych okien, pełne było swądu, a herbata była do niczego. A co się stało z samowarem? Ze wstydem przyznam się, że „opyliłem” go na łochowskim skupie złomu.

Jak z tego widać, w latach 50-tych i 60-tych piec opalany drewnem był podstawowym elementem życia rodziny. Miał on jeszcze inne, specyficzne zalety i wady. W długie jesienne lub zimowe wieczory siadałem na taboreciku, otwierałem drzwiczki pieca i zafascynowany wpatrywałem się w pełgające płomienie. Początkowo jasnożółte, prawie białe, z czasem kurczyły się, nabierały pomarańczowej barwy, przechodząc stopniowo w karmin, aż wreszcie wnikały do wnętrza zwęglonych głowni, wytryskując niekiedy bladoniebieskim płomykiem. Kocica wskakiwała wtedy na kolana, zwijała się w kłębuszek i zmrużonymi oczyma obserwowała błyszczące węgielki spadające do popielnika. A jakże było miło, gdy po powrocie ze szkoły w zimowy mroźny dzień można było przytulić się plecami do ciepłych kafli w pokoju.

Piece kuchenne, zarówno w Łochowie jak i w Siedlcach, nie miały okapu, a w białostockich był takowy. Okap dzięki połączeniu z kominem wyciągał ulatniający się dym i parę powstałą

w trakcie gotowania, a dzięki własnemu szybrowi nie wyciągał ciepła z kuchni w zimowe noce. Kuchnia Dziadka miała dodatkowo mosiężną balustradę dookoła płyty. Poza funkcją ozdobną zabezpieczała ona przed poparzeniem o gorący blat. A zdarzały się sytuacje, że blat i fajerki nagrzewały się do „czerwoności”! W dziadkowej kuchni był jeszcze specjalny prostokątny, żeliwny pojemnik z pokrywą, na stałe wmurowany w trzon pieca. Do pojemnika wlewało się wiadro wody i prawie przez cały dzień była ciepła woda do mycia rąk.

W większości pieców były tzw. duchówki, czyli wnęki zamykane na drzwiczki, w których można było zarówno upiec ciasto, jak i dogotować potrawę lub przez kilka godzin przetrzymać ciepłą zupę dla gospodarza spóźniającego się z pola.

To były te jasne strony pieca, tą ciemną stronę widać było na wszystkich garnkach, sagankach, czajniku i patelni oraz na kuchennych ścianach i suficie. Czarna tłusta sadza, która oblepiała dno i boki każdego naczynia i która zmuszała do przedświątecznego bielienia ścian. I ten popiół, który codziennie czekał w wiaderku na wyniesienie. I ten obowiązek piłowania, rąbania i dźwigania po schodach dwóch-trzech naręczy drewna i wiaderka z węglem.

Wspomniałem o naczyniach kuchennych – myślę, że warto napisać o nich choć parę słów. Podstawę stanowiły brzuchate, żeliwne saganki z dwoma uszami. Średnica ich dna i kształt dolnej części był dopasowany do średnicy fajerek, co pozwalało na głębsze lub płytsze opuszczanie w głąb paleniska pieca. Odrębną grupę stanowiły żeliwne i miedziane rondle oraz także patelnie. Potem szły rynki i ciężkie żeliwne brytfanny z pokrywami. Nad wszystkim królował ogromny kocioł ze specjalnie uformowanym dnem i dziurkowaną wkładką zabezpieczającą przed przypaleniem gotowanej pościeli, ale także świątecznej szynki. No i najczęściej używany, pękaty, emaliowany czajnik z dziobkiem.

A czym się paliło w łochowskich piecach? Na pewno nie trującymi śmieciami! Po prostu w tamtych czasach jedynymi odpadami z domowego gospodarstwa był popiół i niewielkie ilości mydlin z prania. Wszystko inne było zużywane w „obrocie wtórnym”. Złom, makulatura, szklane butelki i stłuczka, nawet kości, trafiały do odpowiednich punktów skupu. Odpadki spożywcze trafiały do kurnika czy klatek z królikami, lub na kompost, a pomyjki chętnie zabierała sąsiadka hodująca prosiaka. Naprawdę nic się nie marnowało, a śmietnik dla trzech rodzin miał kształt niewielkiej przymy w kącie za piwnicą i wywoziło się te odpady może raz w roku. A paliło się w zależności od pieca: pod płytą kuchenną, w piecu chlebowym i oczywiście pod wędzarką – tylko drewnem. W piecu, który ogrzewał pokój, rozpalało się drewnem, a potem dodawało odpowiednią porcję węgla. Ten węgiel był rozmaity – najczęściej był to tak zwany „orzech”, czyli drobne kawałki węgla kamiennego z dodatkiem znacznej ilości mialu. Któregoś roku używaliśmy torfu. Paskudne to było paliwo. Miało się wrażenie, że torfowe cegielki są ciężkie i pełne zaschniętego mułu. Trudno rozpały się i dawały mało ciepła, a za to popielnik był zawsze pełen. Jeszcze gorszy był tylko węgiel brunatny. Ogromne brązowe bryły zawierały mieszanek sprasowanych kawałków pradawnych drzew i pasm drobnego żwiru i piasku. Po rozpaleniu kilku polanek drewna trzeba było dodać nieco węgla kamiennego i dopiero na tak uzyskany żar kładło się owe brunatne bryły. A i tak często piec wygasał i całą procedurę trzeba było powtarzać od początku. Już pod koniec naszego pobytu w Łochowie w składzie węgla pojawiła się rozpałka, tzw. lofiks. Były to kulki wielkości jajka ze sprasowanej masy bitumicznej. Śmierdziały naftaliną i terpentyną, ale jako rozpałka były doskonale!

O obecnym sposobie gotowania na kuchence gazowej lub elektrycznej nie będę wspominał. To każdy wie z własnego doświadczenia. Choć przypominam sobie moją fascynację, gdy po raz pierwszy zetknąłem się z palnikami gazowymi w warszawskim akademiku. Co prawda całe pomieszczenie kuchenne pachniało, czy raczej śmierdziało gazem, płytki były oblepione zaschniętymi resztkami potraw, które wykłapały, ale w ciągu kilku minut można było zagotować pełen wody czajnik lub usmażyć patelnię jajeczniczy – i to bez żmudnego rozpalania! Pamiętam też, ukazujące się w ówczesnej „Przyjaciółce”, porady dla gospodyń domowych: „Szybkie gotowanie na gazie”. Gdy urodziła się nasza córka, w domu na Skorupskiej też pojawił się gaz w postaci pięciokilogramowej butli gazowej, z pojedynczym palnikiem. Co kilka dni trzeba było jeździć na drugi koniec Białegostoku, aby na stacji benzynowej naładować butlę. Służyła nam także w trakcie wyjazdów na wczasy do Rajgrodu i krótkie wypady na „zieloną trawkę”. Dziś ta duża czerwona

butla leży w piwnicy. Dawno straciła termin ważności, ale może kiedyś, wraz z palnikiem, wróci do łask jako muzealny eksponat.

Teraz pora wspomnieć o kuchni turystycznej, bowiem takową poznawałem w latach 60-tych, w trakcie warszawskich studiów. To, że nasza pierwsza, wielodniowa mazurska wyprawa opierała się o gotowania na ognisku, było naturalnym następstwem harcerskich doświadczeń. Dopiero rajdy studenckie w Bieszczady, Tatry czy na Suwalszczyznę zmusiły do przejścia na bardziej nowoczesne metody przyrządzania posiłków. Najpierw poznaliśmy spirytusowe kochery. Wypożyczało się takowe w uniwersyteckim klubie „Unikat”. Zestaw składał się z czterech garnków, czajniczka, pokrywki, podstawy z regulacją dopływu powietrza, palnika i utrzymanki. Ta utrzymanka to bynajmniej nie była panienka dołączona do kuchenki, lecz specjalny uchwyt do operowania gorącymi naczyniami. Duszą całego zestawu był palnik. Miedziany, z zakręcanym wieczkiem, w górnej części, na obwodzie, miał kilkadziesiąt otworków i mieścił w sobie setkę spirytusu. Kilka dni trwało, zanim nauczyliśmy się prawidłowo rozpalić, czyli w gwarze studenckiej „rozpieścić”, palnik. Oczywiście wraz z kocherem trzeba było dźwigać kilka litrów spirytusu. Pamiętam, jaki szacunek budziliśmy w wiejskich sklepach, gdy każdy z rajdowiczów kupował jedną lub dwie flaszki denaturatu. I te pytania: „Jak panowie go odkażacie?”

W piwnicy leży chyba najmniejsza maszynka do gotowania. To właściwie kubeczek z pokrywką i ażurową podstawką, a za paliwo służyły kostki „suchego spirytusu” – takie białe tabletki. Z pewnością można w takiej maszynie zagrzać kilka łyków wody i podobno nawet ugotować jajko?

A potem pojawiły się benzynowe niemieckie „Juwle” i radzieckie „Szmiele”. Te dopiero grzały i szumiały, bowiem ich praca przypominała spawalniczy palnik gazowy. W czasie kilku minut można było zagotować litr wody. W międzyczasie do turystyki stacjonarnej wkroczyły butle gazowe i zestawy jedno-, dwu- a nawet trzypalnikowe. Oczywiście pięciokilogramowe butle nie nadawały się do górskiej wędrowni, ale na którymś rajdzie dostałem do dźwignia w plecaku taką dwuipółkilogramową. A teraz są najrozmaitsze jednorazowe minipojemniki na gaz, czyli „kartusze”, podgrzewacze chemiczne, słoneczne itp. „wydumki”. A wnioski z postępu w tej dziedzinie? No cóż, muszę przyznać, że gotowanie stało się znacznie prostsze, szybsze, czystsze i bardziej higieniczne, ale czy potrawy na tym zyskały? Mam wątpliwości! Te dawne zupy, gotowane na płycie opalanej drewnem, miały swój specyficzny zapach, chleb upieczony w domowym piecu też wyglądał i smakował inaczej. A wędliny, wędzonej w beczce koło domu, nie można porównać z żadną obecną kielbasą czy szynką. A zupa ogonowa, ugotowana na ognisku, cóż to był za cymes!

A ze starych „przyrządów”, które miały zastosowanie przy łochowskim piecu, warto wspomnieć: kociubę, pomiotło, pogrzebacz, skrzydelko gęsie i łapkę zajęczą. Do czego to wszystko służyło – domyślcie się sami?!

Tuż przed Niedzielą Palmową Żona wysłała mnie do piwnicy, aby sprawdzić czy zeszłoroczne palmy jeszcze się do czegoś nadają. Długo szukałem, bowiem okazało się, że spadły za pudło z ozdobami choinkowymi. Aby się do nich dostać, musiałem odsunąć pudło na bok, ale przeszkadzała jakaś deska. Gdy w końcu wyciągnąłem zawinięte w folię palmy, okazało się, że to nie deska, a zębata maglownica. Nie wiecie, co to maglownica – nie dziwię się. Gdy zajrzałem do Wikipedii, to pod hasłem „maglownica” wyświetliło się kilkanaście informacji z gatunku: „Nieużywaną maglownicę do Forda sprzedam”, lub „Renowacja maglownic – tanio”. Jak się okazało, w dzisiejszych czasach maglownica to fragment układu kierowniczego w samochodach! A przecież tak niedawno, bo w latach 50-tych maglowanie pościeli było nader popularnym, choć prozaicznym zajęciem, wieńczącym proces prania. Myślę, że warto ten temat opisać, bowiem w praniu także nastąpił niesamowity postęp, mentalny i techniczny!

Pranie

To będzie nieco dłuższy opis, taki właśnie, jakim było to dawne pranie. Dla tych, którzy się śpieszą, przedstawię poniższy tekst w skróconej formie. Dawne dobre pranie trwało nawet trzy dni i była w nim zaangażowana prawie cała rodzina. A dziś? Dziś włączasz pralkę automatyczną na 40 minut, przerzucasz wsad do suszarki, prasujesz albo nie prasujesz i za trzy godziny masz

załatwione! Ale mam nadzieję, że ktoś może zechce dowiedzieć się nieco więcej – zapraszam więc do Łochowa na początku lat 50-tych!

Budzi mnie głośny brzęk fajerek i pokasływanie. Wysuwam głowę spod kołdry – ciemno, zimno, tylko z pod kuchennych drzwi sączy się żółta smuga światła i słychać krzątanie Babci. Oj, trzeba wstawać. Dziś pranie, przecież wczoraj wieczorem z Tata ściągnęliśmy ze strychu balię i tarę, a ja obiecałem przed szkołą nanosić wody. Zimna podłoga, trzeba szybko założyć wełniane skarpety, portki, grubą koszulę. Umyję się później, jak będzie trochę cieplej. Teraz do kuchni. No, tu jest lepiej, pod płytą buzuje ogień, Babcia dokłada jeszcze kilka polanek. Kocica wyciągnęła się na taboreciku, naprzeciw otwartego popielnika i przez zmrużone oczy popatruje na spadające iskierki. Takiej to dobrze, nie musi wychodzić na podwórko – a ja muszę. Śniadanie jeszcze nie gotowe, więc ściągam z wieszaka kapotę z kosmatym kołnierzem. To futerko to z królików – szynszyli, przed dwoma laty było piękne, takie szarostalowe, teraz się poprzecierało i nieco postrzępiło, tak jak i cała kapota, ale do domowych prac jest idealne. Wciągam stojące przy piecu kamasze, na głowę czapkę uszankę, chwytam za wiadro i wychodzę do sionki. No nie tak szybko, trzeba jeszcze zabrać derkę zrolowaną pod progiem, odciągnąć gruby hak dociskający drzwi i zręcznie wyskoczyć, aby ciepło nie uciekało. Teraz w dół po schodach, następne drzwi, też zaszczepiane na hak. Dobrze, że Tata, który wcześniej poszedł do pracy, już je otworzył, bo ten hak strasznie się klinuje. No i już jestem na podwórku. Białe, w nocy nasypało śniegu. Studnia jest na niedaleko, może dwadzieścia metrów, może trochę więcej. To nie taka odległość jak dla sąsiadów z drugiej strony ulicy, którzy też korzystają z naszej studni. Ci jak niosą wiadra, to muszą kilka razy przystawać i odpoczywać. Biegnę początkowo po śladach Taty, ale gdy skręcają w prawo, muszę zwolnić. Śnieg jest głęboki, prawie do kolan. Trudno robić duże kroki i jednocześnie uważać, aby nie nasypało się do kamaszy. Byle do furtki w siatkowym ogrodzeniu, które oddziela ogródek od kurników. Potem parę kroków i studnia. Ale najpierw trzeba otworzyć furtkę, a ta zaklinowała się w nawianej nocy śniegowej zaspie. Jakbym się podciągnął, to mógłbym przeleźć górą, ale gdy będę wracał z pełnym wiadrem, to niemożliwe. Szarpnię za furtkę, ciągnę ją, odgarniam śnieg nogą, w końcu mam wąską szparę, przez którą ledwie się przeciskam.

Studnia jest normalna, taka na kołowrót, ale zawieszona na łańcuchu wiadro jest specjalne. Ogromne, drewniane, okute jak beczka metalowymi obręczami, namoknięte. Metalowy pałak i łańcuch, siwe od szronu, ma się wrażenie, że „parzą”, gdy je niebacznie chwycić gołą ręką. Dodatkowo nocny mróz ściał wodę rozlaną wokół studni w granatową ślizgawkę i powłókl lodem krawędź cembrowiny. Trudno ustać, aby pokręcić metalową korbę kołowrotu, a jeszcze trudniej trzymając jedną ręką za tę korbę przechylić się nad krawędzią i chwycić bujające się na łańcuchu wiadro. A potem przelać je do domowego, blaszanego, starając się, aby jak najmniej rozlać na spodnie i buty. Oczywiście spora część wody rozchlapuje się dookoła i za kilkanaście minut lodowa górka będzie jeszcze wyższa. Chwytam pałak wiadra i najpierw ostrożnie po zawianym śniegiem lodzie, potem po własnych śladach sunę do domu. Teraz tylko chwila odpoczynku na dole schodów i potem jednym ciągiem na piętro. No, udało się. Przelewam wodę do stojącego już na piecu ogromnego kotła. Mało jej, zaledwie wypełniła wgłębienie na dnie kotła, przykryte teraz dziurkowanym talerzem. Ten talerz ma chronić bieliznę przed przypaleniem. Oj, aby przynajmniej w połowie napęlić to kotlisko, będę musiał jeszcze przelecieć się z wiadrem cztery albo i więcej razy! A potem jeszcze kilka wiader do balii. Któregoś razu próbowałem przydźwigać dwa wiadra, ale w sumie trwało to dłużej, nie licząc oblanych schodów i portek. Sąsiedzi noszą po dwa, ale mają do tego specjalne koromysła i drewniane krzyżaczki, które zabezpieczają przed rozchlapywaniem się wody.

No więc biegam z tym wiadrem tam i z powrotem, aż kocioł jest wystarczająco pełny, a i w bali znalazło się dość wody.

Babcia w międzyczasie przygotowała mleczną zupę. Zjadam ją szybko, chwytam zawiniętą w papier kanapkę, zarzucam plecak i do szkoły. Na szczęście upiecze mi się najgorsza część prania, czyli gotowanie bielizny i szorowanie jej na blaszanej tarze, ominie też moczenie firanek.

Szkoła jak szkoła, opiszę ją przy innej okazji. Wędrowkę do niej zimową drogą przez bagno też opiszę, ale teraz wracajmy do domu.

Już z daleka widać, że pranie idzie na całego. Okna werandy powleczone parą, z kuchennego lufcika wali biała smuga, za piwnicą ślady na śniegu kończą się szarymi rozbryzgami

mydlin. Dobrze, że nie czeka na mnie wynoszenie wiader z brudami, ale innej roboty nie zabraknie. Rzeczywiście, gdy tylko zrzucam plecak, zaraz trzeba lecieć do drewnitni i przynieść naręczę polanek i wiaderko węgla. Potem zjeść co nieco na rogu stołu, bowiem resztę zajmują dwie miednice z wygotowaną i wstępnie przepraną pościelą i znów po wodę do studni. W całym mieszkaniu pachnie praniem. Słowo pachnie niezbyt dobrze pasuje do charakterystycznej mieszanki zapachów: mydła „Biały Jeleń”, proszku „Radion – Sam Pierze”, wody z kotła, która wykpiła na rozpaloną płytę pieca, bigosu, który parkocze w żeliwnym saganku i jeszcze czegoś, co trudno nazwać, ale czego zapach do dziś tkwi w moich wspomnieniach. Może to unoszący się w powietrzu kurz wytrzepany z pościelowych narożników, może to wirujące drobiny pierza z poduszek, a może po prostu tak pachniały polane wrzątkiem drewniane klepki balii. W charakterystyczny sposób pachnie też ług, który Babcia wygotowała z popiołu. To doskonały środek do wybielania zszarzałych tkanin, ale jego zapach aż wierci w nosie.

Kocica już dawno wyniosła się z tego zaparowanego rozgardiaszu, zaglądam do pokoju, no tak, śpi zwinięta w kłębek na moim łóżku. Takiej to dobrze, a ja znów biegnę z wiadrem do studni. Dobrze, że ktoś z sąsiadów posypał lodową górkę popiołem, no i ścieżka jest już solidnie przedeptana. Wody też nie trzeba tak wiele. Jeszcze raz muszę napełnić kocioł. Tym razem grzeje się wodę do płukania i farbkowania.

Pytacie, co to farbkowanie? Ano właśnie, teraz pościeli już się nie farbkuje, ale wtedy pranie bez sinki i krochmalu to nie było pranie.

Bardzo lubię patrzeć, jak Mama wlewa do balii wiadro zimnej wody i z półki nad piecem zdejmuje kubek z sinką. Farbka jest zawiązana w lnianą szmatkę i przypomina niebieską główkę lalki – pacynki. Wystarczy zanurzyć ją w wodzie i lekko poruszać a zaraz w ślad za nią pojawiają się niebieskie kłęby przypominające dym z lokomotywy. Po chwili całą balię wypełnia lazuruowo-chabrowa woda. Teraz Mama zdejmuje z pieca duży garnek z gorącym krochmalą, miesza w nim drewnianą warząchwią i powoli cedzi przez durszlak. A potem do tej kleistej, przypominającej rzadki, niebieski kisiel kąpieli wkłada się kolejne sztuki pościeli, kilkoma szybkimi ruchami zamacza, wyciąga i wykręca, to znaczy wykręcamy razem. Dawniej trzeba było wykręcać ręcznie, ale dziś mamy wypożyczoną z Rejonu Lasów wyżymaczkę i teraz przychodzi moja kolej. Z zapałem kręcę korwą, Mama podsuwa ułożoną wstęgę pościeli, a spod wałków wyżymaczki leją się strugi kleistej wody. Najbardziej atrakcyjne jest wykręcanie dużych poszew, zawsze na ich końcu tworzy się ogromny, wydęty balon, który opornie i z głośnym sykiem znika w szczelinie wyżymaczki. Siostra Hania też pomaga, układa w wanience wstęgę wykręconej pościeli lub miesza w bali drewnianą łyżką. Po kilkunastu minutach sterta wykręconej pościeli wypełnia stojącą na podłodze blaszaną wanienkę i pora iść wieszać. Strych jest niedaleko, na tym samym poziomie, co nasze mieszkanie. Muszę wyjaśnić, że nasz dom to ciekawa budowla. Do drewnianego piętrowego budynku z boku niejako doklejono parterową przybudówkę i właśnie pod dachem tej przybudówki jest nasz strych. Duże mroczne pomieszczenie, rozświetlone jedynie przez niewielkie okienko w szczytowej ścianie. W letni dzień, gdy w strudze słonecznego światła, przebijającego się przez zmętniałą szybę, widać wirujące drobinki kurzu, można w miarę swobodnie poruszać się po całym strychu, nie ryzykując potknięcia o belki wystające z podłogi ani uderzenia głową w kanciastą krokiew lub nadeptnięcia na butelkę z karbidem.

Co to jest karbid? O karbidzie i o rowerowej lampie już pisałem, a o strzelaniu na Wielkanoc opowiem Wam przy innej okazji.

Teraz jest zimowy wieczór i jedynie światło naftowej lampy, powieszanej na haku przy kominie, nieco rozprasza mroki. W jej żółtym, migotliwym blasku strych przypomina tajemniczą jaskinię. Nasze ogromne cienie skaczą po szarych deskach dachu, chowają za wiklinowy kufer lub wdrapują się na chropawe cegły komina. Zimno, pod okienkiem i naprzeciw szpar pomiędzy deskami bieleją długie smugi nawianego śniegu, komin też zimny, widocznie sąsiedzi z przybudówki gdzieś wyjechali. Teraz trzeba przetrzeć sznury zaczepione do belek krokwi i ostrożnie powiesić wypraną pościel. Nie jest to takie łatwe! Duży, namoknięty pokrowiec jest ciężki, klei się, złośliwie wyslizguje z rąk, a przecież trzeba go równo rozciągnąć na sznurze uważając, aby żadnym rogami nie dotknął zakurzonej podłogi lub zakopconych cegieł komina. Mniejsze sztuki bielizny zawieszamy na pośrednich sznurach, a chusteczki, którymi zajmuje się Hania, to na tych najniższych, prawie przy samej ziemi.

Gdy kończy się wieszanie zawartości pierwszej wanienki, z nieskrywaną radością biegniemy do ciepłej kuchni. Do balii trzeba dodać następną porcję sinki i krochmalu i znów namaczanie, wykręcanie i następna wizyta na strychu. Za trzecim razem całość prania już schnie. Komin zrobił się ciepły, a więc sąsiedzi wrócili i napalili w piecu. U nas też kolacja, szybko odrobić szkolne rachunki, napisać jakieś ćwiczenie z „polaka”, wyprosić kocicę z łóżka i pora spać.

Gdy następnego dnia wracam ze szkoły, to już na schodach czuję zapach prasowania.

Dziwne jest to, że bardzo często zapamiętane kiedyś zapachy pomagają w odtworzeniu wspomnień. Właśnie w tej chwili poczułem coś, co było nieodłącznie powiązane z praniem – prasowanie.

Tę woń trudno opisać, bowiem jest to cała paleta zapachów. Pościel suszona w zimie w pierwszym momencie nie ma żadnego zapachu. Gdy zdejmuje się ją ze sznura na strychu, jest zimna, sztywna jak arkusz blachy, skrzy się drobinkami szronu i wręcz trzeszczy przy każdej próbie składania. Nie ma rady, trzeba takie arkusze ostrożnie zanieść do ciepłego pokoju, aby powoli odtajały i wtedy wyzwala się z nich specyficzny zapach – na woń zmrożonego wiatru nakładają się zapachy mydła i farbki i jeszcze czegoś, co można nazwać wonią czystości. W trakcie prasowania dochodzi następna fala zapachów. To coś, co ulatuje z żarzących się węgli z dodatkiem lekko przypalonego ciasta, to woń gorącej płyty kuchennej, na którą wykypiała woda z czajnika. Tak właśnie pachnie żelazko na węgle, tak pachnie prasowany krochmal, tak pachnie para, która z sykiem ulatuje spod żelazka. Do tego z wnętrza otwartej bielizniarki dochodzi zapach położonych jesienią kwiatów lawendy, pędów bagna i resztek naftaliny.

Na szczęście przy prasowaniu moja pomoc nie jest potrzebna, chyba że do wyciągania co większych sztuk pościeli. Wraz z Mamą chwytamy prześcieradło lub pokrowiec, najpierw rozciągamy wszystkie sklezione krochmałem zakładki, potem mocno naciągamy za przeciwległe rogi, a w końcu składamy w harmonijkę i jeszcze raz albo i dwa razy ciągniemy z całej siły.

Część dużych, grubych lnianych prześcieradeł i powłoczek przed prasowaniem trzeba wymagać. To jest robota Taty, bowiem potrzeba do niej naprawdę dużo siły. Najpierw prześcieradło trzeba lekko skropić wodą, odczekać kilka minut i ciasno nawinąć na drewniany wałek. Potem, na zasłanym kocem stole, turlać takowy wałek za pomocą zębatej deski maglownicy. Turlać dotąd, aż sztywna od krochmalu pościel nieco zmięknie, tak by można było ją uprasować.

Łochowskie prasowanie to także nielekka robota. Najpierw trzeba rozpałić w piecu, oczywiście polankami z liściastego drewna. Dlaczego liściastymi? A dlatego, że do żelazka potrzebne są węgle, które nie kopczą, natomiast długo trzymają żar. Czerwone, żarzące się węgle przy pomocy szczypiec ładuje się do żelazka i zamyka jego pokrywę. Teraz trzeba trochę żelazkiem pomachać, aby przez otworki w korpusie wypadły drobne kawałki węgla i popiołu i już można prasować. Oczywiście, do czasu, dopóki węgle nie wygasną. Niekiedy pomaga energiczne dmuchanie, ale najczęściej trzeba załadować nową porcję żaru. W domu jest także żelazko na duszę, ale jest na tyle małe, że używa się go jedynie do prasowania chusteczek i koronkowych kołnierzyków Babci. Dla wyjaśnienia – dusza to niewielki żeliwny klinek, który nagrzewa się do czerwoności w piecu i przy pomocy specjalnego haczyka umieszcza we wnętrzu żelazka. A na koniec trzeba uprasowane rzeczy poukładać w bielizniarce i komodzie, przełożyć woreczkami z lawendą i gałązkami bagna i na tym skończy się pranie.

Teraz już stawiam symboliczną kropkę „,„”!

Posłowie:

Pawlacz opisany w tym opowiadaniu istnieje naprawdę i zapewne leży w nim jeszcze sporo starodawnych przedmiotów. Może kiedyś do nich dobiorę i uzupełnię to opowiadanie. A przecież jeszcze jest piwnica i schowek pod schodami.

Te wszystkie miejsca, pospolicie zwane rupieciarniami, są swoistymi Kapsułami Czasu, są specyficzną przynętą dla naszej, jakże ulotnej pamięci. Proszę zajrzyjcie do swoich schowków!

– „Panowie szanujmy wspomnienia...”

Białystok, marzec 2017

Tadeusz Ruffiński

Dokończenie tekstu z 1/119/2018 numeru „Najprościej” (str. 20-35).

Kazimierz Słomiński

**FRASZKI
(2017-2018)**

MOJE FRASZKI

Od niechcenia je pisałem,
bo bardzo tego chciałem.

W KARIERZE

A że w karierze chce się wygody,
najpierw są szczeble, a potem schody.

PROSTOLINIJNY

Prostolinijny już jestem taki,
że wciąż przez życie idę zygzakiem.

PORZĄDEK

W miłości bardzo bywa pomocny
porządek dzienny, nie tylko nocny.

PATRZE

Oczyrna duszy patrzę z ukosa,
też mi zezują na czubek nosa.

EGOISTA

Własne zdanie mieć mi przyszło –
takim jestem egoistą.

CIENIE

Gdy się jeden uzewnętrznia,
drugi pada mi do wnętrza.

NIEWDZIĘCZNIK

Niewdzięcznik z niego jest zatracony –
zawsze, gdy chodzi o wdzięki żony.

O ZAKOCHANYCH

Najszczęśliwsi chodzą w parze.
A jak długo? Czas pokaże.

NA STAROŚĆ

Między dawnymi i nowymi laty
ciągle się gubię, bom jest starej daty.

ŚWIADOMOŚĆ

W zaraniu dziejów było wiadomo,
że głupota określa świadomość.

GAMA

Między ustami a sensem słowa
jest cała gama ludzkich zachowań.

AFERZYSTA

On nie z roli ani z soli,
lecz z rodaków swych niedoli.

POCIESZENIE

To jeszcze nie powód do narzekań,
że golizna nie zdobi człowieka.

NIUANS

Żebro Adama to jeszcze nie to –
męska słabizna czyni kobietą.

NA MIARĘ

A naszym panom bardzo się chwali
być dżentelmenem w każdym z trzech cali.

FINANSE

Póki ważniejsza reszka od orła,
to i złotówkę w opiece czort ma.

OLEJ

Który olej jest najbardziej zdrowy?
Ten z pierwszego tłoczenia do głowy.

ECHO

W ludzkim wnętrzu figiel płata,
gdy odzywa się po latach.

FISKUS

Wciąż na wylot chce przenikać
dno kieszeni podatnika.

WZLOTY

Towarzyszą nam nierzadko
wzloty ku nowym upadkom.

CZYSTY ZYSK

Jest taki czysty, bo z powodzeniem
rąk nie pobrudzi, tylko sumienie.

POECI

Mówią do rzeczy i jest z tym bieda,
bo się tych rzeczy zawłaszczyć nie da.

JUŻ BYŁO

Wszystko już było. Na domiar złego
i to, że brak nam było wszystkiego.

IDEA RÓWNOŚCI

Równość to jeszcze nie jest przeżytek,
równość mieć trzeba i pod sufitem.

W BLASKU

W blasku złota jest wiele milczenia,
bo wciąż pazerność wyłazi z cienia.

PRZEGRANY

Nie jestem sługą ani panem –
taki już jestem przegrany.

Z FRASZKĄ

Z fraszką na co dzień emocji sporo,
aż się zachciewa i nocną porą.

PRAWO

A paragraf dla maluczkich
oprócz brzuszka ma dwa kruczki.

SZCZĘŚCIE

Pomimo zalet i wadę ma tę,
że może czasem być zołzowate.

KIEPSKI ŚWIAT

Kiepsko świadczy o wielkości
pieska mania wielkiej kości.

ARS LONGA

W sztuce miłości na stare lata
ciut inny wymiar ma prolongata.

WOLA

Wola boża zgodna ponoć
z własną a nie przymuszona.

POŁOWICZNIE

Połowicznie z połowicą?
Nawet czart tym nie zachwycon.

O REWOLUCJI

Że rewolucja mi się nie podoba?
Bo to nie tylko francuska choroba.

W SZTUCE

Awangarda znów przegięła
i ma w sztuce ładny nieład.

CEL POSTĘPU

Przy wynalazku łamania kołem
cel postępu pojąłem.

RACJONALIZM

Czy kto silny, czy też słaby,
je swą rację lub swą żabę.

AMOR

Jeszcze jest mały i nie potrafi,
więc strzela łobuz na chybił trafił.

O SWOIM SZCZĘŚCIU

Dobrze szczęście mieć w miłości,
gdy do szczęścia ma się dość sił.

KRÓLOWA

Ponoć miłość jest królową cnót,
musi tylko jedną zabrać wpród.

PRZYSŁÓWKO

Kto się lubi, ten się czubi,
a od polubień mętnik ma w czubie.

DZIKI LOKATOR

A w tyłeczku mieszka kusy,
co jest łasy na pokusy.

DO DIASKA

Kiedy z golasem fika golaska,
samego diabła pošlą do diaska.

PO WESELU

W życiu prawdy tej doświadcza wielu,
że weselej bywa po weselu.

POCIESZENIE

Choć poskąpił Bóg urody,
to dał modę dla osłody.

PRZYJEMNOŚĆ

Bywa czasem i nieczysta,
żeby diabeł też skorzystał.

PRAKTYCZNA PANI

Bo niejedno już jej ciało
spraktykowało.

BEZ OBAW

Ja się nie boję nocy upojnej,
nie jestem taki boginiobojny.

SAM NA SAM

Kiedym jest z ponętą damą,
wtedy wolę sam na samą.

POSŁANKA

To posłanka jest Amora –
do posłanka z chłopcem skora.

POD NAGOŚCIĄ

Choć poznałem dobrze dość ją,
wciąż coś kryje pod nagością.

MĘDRSZA

Gdy u boku dziewczę zdrowe,
główka mędrsza jest od głowy.

HMM...

Kiedy się spiknie już baba z chłopem,
czy to jest pociąg, czy to jest popęd?

O PUSZYSTEJ

Puszystość jej podziwiać muszę,
a miał być tylko marny puszek.

PROFIL

Niejeden profil to ściema –
nawet pół twarzy w nim nie ma.

TAKI MÓWCA

A w jego słowach tylko dźwięk pusty,
bo taki jest już frazesousty.

O BIEDZIE

Sądzi u władzy bubek niejeden,
że przez ciemnotę mniej widać biedę.

ZIELONY

W tym mej młodości bywa urok wszystek,
zem jest zielony jak figowy listek.

PODFRUWAJKA

Skrzydełkami od Amora
podfruwajka machać skora.

Z ŁADNĄ

Z ładną mieć lubię większą uciechę,
z nią nie wypada brzydzić się grzechem.

TEMPERATURA UCZUĆ

Do temperatury wrzenia
podczas kłótni się zmienia.

W MOIM WIEKU

Mam ciągoty erotyczne,
a w dzień nawet sklerotyczne.

KOŁYSANKA

Ja cię w lędźwiach ukołyszę
i otulę w nocną ciszę.

W KUCHNI EROSA

Listek figowy potrzebny także,
żeby dodawać zupie posmaku.

PIERWSZA DAMA

Szarogęsić miała się w zwyczaju
jeszcze przed wygnaniem z raj.

TAKI DRAŃ

Taki zimny drań jest z niego ponoć,
że przytuli chętnie napaloną.

O MĘŻACH

Mąż stanu ważny jest niesłuchanie,
ale ważniejszy ten, co jest w stanie.

KOMPLEMENT

Dobre słowo
na zmysłowość.

WZAJEMNOŚĆ

Pasma błędów i wybaczeń –
kiep jest ten, kto chce inaczej.

LUDZIE ROSNĄ

Ludziska rosna, a potem czują,
że gdzieś od spodu już się zdeptują.

O STWORZENIU CZŁOWIEKA

Tak mu pozycję wyprostowano,
że aż kręgosłup dęba mu stanął.

PRZEWROTNA

Wita niektórych gości
u wrót swej kobiecości.

PROBLEMY

Rozwiązłe nogi, związane ręce –
z tym wciąż problemów bywa najwięcej.

STOPNIOWANIE

Strój, nastrój, golizna...
I jeszcze męzczyzna.

NA DOBRANOC

Jak już zdrowo się popieści,
to i diabeł licha nie śpi.

CIĄGLE MAŁO

Jeszcze się taki nie narodził,
co by ambicjom swym dogodził.

ZDROWA MORALNOŚĆ

Bo łagodzi obyczaje.
Tak mi się przynajmniej zdaje.

NA WYBIEGU

Pokaz mody
mądrzejszej od urody.

UMIARKOWANA

Swą babską miarką traktuje pana,
bo taka jest już umiarkowana.

BIEDNI LUDZIE

Cóż, że z rajy wypędzeni?
Waż odnalazł się w kieszeni.

PLOTKI

Nie dość, że już w głowach chore,
gęby miały je ozorem.

ODBICIE

Duma se kobieta pusta,
jak ładniejszą być od lustra.

JUTRO

A lepsze jutro, jak zdaje mi się,
już leczy kaca po gorszym „dzisiaj”.

MARKSIZM

Filozofia postępową,
co robiła nicość w głowach.

GRA SŁÓW

Na doskonałość trochę za mało,
chodzi o to, żeby w słowach grało.

PIERWSZY

Na utrapienie wszystkich maluczkich
pierwszy po Bogu – nie zawsze ludzki.

NIE ZASTĄPI

Gdy w kulturze jest posucha,
nie zastąpi zaduch ducha.

BIADA

Przemądrzałem biada, oj biada,
bo z samym sobą się nie dogada.

WNĘTRZE

Własne wnętrze może być urocze,
bo to jest najbliższe miejsce mocy.

MOJA KRÓLOWA

Do mej nagości tuli się czule,
bo w łóżku tylko nagi jest królem.

GRZECH LUDZKI

Grzeszy narodek zmysłny i dzielny,
bo wciąż grzech ludzki jest nieśmiertelny.

PIESZCZOTA

Przez pieszczonę okrągłości
chcę poznawać kształt miłości.

PUŁAPKA

Między pokusą i pokutą
niejedno w życiu już zepsuto.

NUDYŚCI

Nudyści to taki rodzaj ludzi,
co na golasa mogą się nudzić.

POSTAĆ

Aferzysta – trzeba to wiedzieć –
to taka postać, co powinna posiedzieć.

SZATAN

Wciąż tę przewagę nad nami ma,
że jest uczynny w czynieniu zła.

Z DUCHEM CZASU

Z fusów nie chcę wróżyć dłużej,
z chemii w jadle se powrózę.

O WŁADZY

Władza jest raczej dość dobra sobie,
bo wciąż za dużo żłobów przy żłobie.

O PIJAKU

Pijak to u nas ma szanse wielkie
ciągle nabitym bywać w butelkę.

HOMO SAPIENS

Taką rozumną bywa istotą,
że wciąż przekracza granice z głupotą.

W MAŁŻEŃSTWIE

Smak małżeństwa różny bywa,
bo zależy i od przywar.

SZTUKA

Małżeństwo – to sztuka jest prawdziwa,
bez aktów i scen się nie obywa.

Kazimierz Słomiński

ROZWAŻANIA NAD „TOŻSAMOŚCIĄ” IRENY SŁOMIŃSKIEJ

Prawie jesiennym liściem przyfrunęła do mnie ta książeczka; pełna wrażeń, kolorów, ulotności i faktów z życia autorki – Ireny Słomińskiej. Czytałam ją z dużą uwagą, ale za kolejnym wchodzeniem w tekst przychodzą nowe refleksje, które budzą zachwyt, niepokój, zdumienie i odkrywanie własnej tożsamości przez pryzmat doświadczeń wyrażonych w tekstach wierszy. Całość publikacji sugeruje jakoby dwie części, podkreślane nawet inną strofiką i budową wiersza.

Pierwsza część to utwory bardzo osobiste, czasem bez tytułów i interpunkcji, dotyczące stanu ducha piszącej, jak „*** idę ścieżką wśród słów...” czy „*** gdy zrodziło się nowe życie...” oraz rodziny, np. „Mąż”, „Najbliżsi”, „Rozstaje” i inne.

Znając Irenę wiem, że jest to *zwykła codzienność*, a może *niezwykła*. Ta zwykła to częste zmaganie się ze słabością ciała, trudem fizycznego bytu, a *niezwykłość* – to wydanie na jubileusz 70-lecia tak pięknych, świeżych, mądrych i nowoczesnie skomponowanych wierszy, o jakich wielu z nas może marzyć. „Tożsamość” – to nagroda dla zwieńczenia trudnego, aczkolwiek bogatego życia, to efekt ciągłego zmagania się ze słowem, to wyciśnięcie do ostatniej kropli doświadczeń życia i oddanie ich w służbie szczególnego piękna, choćby w takich neologizmach, jak: *wielozdźbła młodość; czuciorozumienie siebie; dziecięcość rodzi wiarę*.

Jakże ciekawe i niespotykane są przenośnie, paralele, personifikacje, jak choćby te: *jak szlif diamentu jarzą się / znaczenia; uczę się tego bzu jak oddechu; Wysuwam nieśmiało ręce wierszy; Wierzę, więc myślę; byliśmy kosmosem / w sobie; Jestem groszową sumą; zakrzepiliśmy w czasie jak kropla żywicy* i wreszcie wniosek: *Potrzeba nam pokory, by nauczyć się czytać wiersze*. Jest też pewna część tekstów, które mają charakter sentencji i to też jest piękne.

Czytam te wiersze kolejny raz i zadziwia mnie fakt: skąd ona to bierze, jak to do niej przychodzi, kiedy z rzeczy tak zwykłych jak „Kapelusz”, „Przedmioty”, „Kajet”, „Lampka” – wydobywa tyle mądrości, niezwykłości, pisząc na przykład, że okna są po to, żeby przejrzeć, a potem wezwanie: *Niech się dopełni wielkość nocy, twoja wielkość. / Choćby na mgnienie, dotrwanie do brzasku, bo Wtedy przychodzi w sukurs poezja – ciebie, kapelusza, świata. / I nastrój, który scala*.

Myślę, że każdy, czytając wiersze Ireny Słomińskiej, wybiera z nich to, co przez niego przechodzi, jak reaguje osobliwe ego, dotyczące obserwacji świata, tak bogatego, że aż trudno uwierzyć, że można tak głęboko wchodzić w obszary filozofii codziennego życia. I jest to ta druga, obfitsza część zbioru. Myślę tu o takich wierszach, jak: „Lampka” (problem samotności), „Kryształowa apteka” – *Wyluskuję na rękę okruchy zdrowia. Drzemią choroby / wystraszone chemiczną strukturą zakrzepłego światła*, „Doniczka” – *Tak niewielki splechetek ziemi i marzenie o tym, by rosnąć*, a także „Poezja” (główne atuty tworzenia) czy „Demokracja” – skażona zniewoleniem.

Te i inne wiersze – to wręcz rozprawki filozoficzne – zwłaszcza „Światło”, „Woda”, „Dialektyka”. Ten rodzaj rozważań wyróżnia się inną wersyfikacją, budową stroficzną, jest to raczej proza poetycka, bo z klasycznym kanonem wiersza nie można jej identyfikować. Są to teksty o racjonalnym myśleniu, bez ograniczeń rytmem i wyimaginowaną treścią.

Doświadczenie lat i życia nie odsuwa poetki w tzw. „ciszę i cień”, ale emanuje młodością serca, doświadczeniem poznania i reagowaniem na dokonania innych. Wszak pisze recenzje, artykuły, szkice w „Najprościej”, znajduje siłę, aby umacniać w potrzebie pisania, szukania nowych dróg, sama będąc przykładem, że poezja przychodzi, kiedy wyciągniemy do niej ręce. Jak po tomik, który jakże trafnie nazwała – „Tożsamość”. Zdarza się bowiem, że coraz trudniej o tożsamość, o zachowanie osobowości i patrzeć na siebie w lustrze bez pogardy, ironii i smutku w zdążaniu do nicości. Irena wie, co w życiu jest ważne, a ja podkreślam te wersy utworów, aby nimi żyć i zachować swoją tożsamość.

Urzekła mnie też okładka ze zdjęciami Kazimierza Słomińskiego – prywatnie męża Ireny. Na szarej korze, w jesiennych dojrzałości, żółto-złoty liść, przytulony do pnia, stanowi jasny akcent,

jakże symboliczny, być może dla każdego inny, bo serce różne ma kształty, jest atutem w przemijaniu i odradzaniu się życia. Tego liścia nie porwał wiatr ani zniszczyło błoto ulicy. On trwa przytulony do kory życia – jak Irena – na okładce książki.

Daniela Długosz-Penca

Irena Słomińska. *Tożsamość*. Redakcja i zdjęcia: Kazimierz Słomiński. Posłowie: Grzegorz Czemieli. Wydawca: druk-24h.com.pl, Białystok 2018.

Mieczysław Wojtasik

IMPRESJA BYTU

Tożsamość jest pojęciem wieloprzymiotnikowym. Najlepiej skomunikowana z literaturą i najczęściej rozpatrywana jest tożsamość duchowa. Bywa rozpoznawalna, wyrazista, ale nierzadko jest niejasna, niejednoznaczna, rozchwiana, chociażby ze względu na swoistą zmienność. Poznawanie, analiza, ocena tej kategorii bywa powinnością nauki, ale także – jak dowodzi **Irena Słomińska** z Białegostoku w zbiorze wierszy pt. „Tożsamość” – poezji. Takiej poezji, jaka jest w owym zbiorze. Już w pierwszych swoich słowach poetka wyklada:

*gdy zrodziło się nowe życie
rozumiałam że dzban
jest zawsze pełny
musującego istnienia
nie sposób go opróżnić
nawet w chwili śmierci*

pustka jest tylko pozorem (...)

*zostaje ślad
nieświadoma pamięć
noworodka
przedmiotów
przyrody
duchowości powszechnej
wszechświata (...)*

(wiersz bez tytułu, s. 5)

A więc każdemu „ja” odpowiada jakiś znak we wszechświecie. Każda kropka, kreska z wizerunku człowieka, a także zwierzęcia, rośliny, tworu przyrody, przedmiotu zapisuje się w kosmicznym banku. Nic nie przepada. Śmierć jest przekazem, przemianą „wiecznej idei istnienia”, a nie unicestwieniem. *Jest w nas zapisana nieuchronność / przeznaczenie szlaku który jest prosty / jak strzała // pytamy siebie kto wypuścił tę strzałę / Bóg? / podświadomość? / świadomość?* („Rozstaje”, s. 10). Nasza obecność we wszechświecie sprawdza się wspólnie z tworem przyrody, co wyraża poetka między innymi w słowach *niosę aurę kwiatu / w swoje odchodzenie* (s. 5). Podobną filozofię bytu uprawia znakomity poeta chiński Jidi Majia, który w poemacie „Ja, śnieżna pantera” wyznaje: *wierzę: / kosmiczny porządek nie wziął się / z przypadkowego chaosu / będącego we mnie od urodzenia / ale z tysięcy osobnych zależności /*

z antylopą, rudym lisem i świstakiem. Bliską utworom pani Ireny wymowę ma też wyrażenie: *każdy dzień, który mija, przybliża cię do życia* (Josemaria Escrivá de Balaguer). U pani Ireny jest: *tak jakbym rodziła się naprawdę / z każdym mgnieniem dniem miesiącem / wiosną* („Pierwszy bez”, s. 20). Zatem obok tezy Kartezjusza: „myślę, więc jestem”, trzeba by postawić formułę: **wierzę, więc jestem**. Ba, formułę tę można by kultywować też w postaci: **kocham, więc jestem**. Nabiera ona mocy z chwilą pojawienia się miłosego impulsu: *od strzały Erosa – myślę / zaczyna się nasze / zbawienie* („Eros”, s. 12).

Skromność i pokora, nie patos autokreacji, kieruje słowami poetki z Białegostoku: *sprzątaczką na schodach przeciwniczka chaosu / siły która także jest w niej / siły która porusza mną / narzuca ruch przedmiotom ludziom i marzeniom* („Światło”, s. 19). Myśli Ireny Słomińskiej przebiegają przez wiele ścieżek rozbudzonego intelektem i wrażliwością krajobrazu. Nie cofają się przed zagrożeniem ciągłości **stawania się** (vide „Pierwszy bez”, s. 20). Poetka coraz to dodaje im mocy, pędu: *Rano kupilem litr światła* („Ręce wierszy”, s. 24). *Próbuje scalić w jednię – syntezę przeciwieństw* („Dialektyka”, s. 25), umacnia w akcie zrównania z pięknem i poleca stanąć *wobec prawdy z nienasyconym / głodem jej poznania. // I odczuć swoje człowieczeństwo – wiatr, który unosi je / jak pyłek, jak nasionko przyszłych istnień*. („Wiersze”, s. 40). Szeroką ręką zagęszcza sensory posiewem słów – kluczy i wyrażen aforystycznych. Na przykład tylko w jednym utworze „Mowa świata” (s. 44) mamy takie kwintesencje: 1) *Zanim nadano mi imię, / już zaistniało ono w mowie świata*; 2) *wszystkie filozofie, zakładające obcość człowieka i świata, mylą się*; 3) *Mówimy wspólnym wewnętrznym głosem*; 4) *naprawdę złudzeniem jest samotność*; 5) *Jestem tak dużo winna światu. Szacunek, empatię, zrozumienie. / Także jego potrzeb. Ekologię wewnętrznego przestrzeni*; 6) *Prowadzimy się za rękę. Ja i rzeczywistość. Zmierzamy / we wspólnym duchowym kierunku*; 7) *Wysłuchaj się w tę mowę. Ona ci wyścieli wieczną kolebkę. / Przetrwa nieistnienie*.

Utwory Ireny Słomińskiej mają, oczywiście, swoją drugą stronę, określaną terminem literackość. Składa się na nią styl, klarowność języka, sposoby kształtowania wypowiedzi, ich logika i oryginalność, estetyka, konteksty etc. I od tej strony oceniając jest to poezja bardzo wysokich lotów. Ale, żeby nie przepelniać dzbana fascynacji, poprzestanę na charakterystyce korowodu pasjonujących sensów. A resztę niech dopowiedzą sobie sami Czytelnicy, których bardzo do tego zachęcam.

Mieczysław Wojtasik

Irena Słomińska. *Tożsamość*. Redakcja i zdjęcia: Kazimierz Słomiński. Posłowie: Grzegorz Czemieli. Wydawca: druk-24h.com.pl, Białystok 2018.

Rafał Orlewski

MOWA ŚWIATA

Ucieszył mnie, oczywiście, podarek w postaci nowego tomiku poezji Ireny Słomińskiej – „Tożsamość”. Ale nie bardzo mogłem się zdobyć na zapis wrażeń z jego lektury. Jedną z tego przyczyn można skwitować rymowanym rozszerzeniem przysłowia:

*Starość – nie radość,
bo chorych zadość...*

O innej pisałem wielokrotnie: nie jestem krytykiem literackim, a jeśli coś piszę o danej książce, to wyrażam jedynie swe wrażenia z wczytania się w tej książki zawartość. Jednak natura

ciągnie wilka do lasu, nawet gdy „wilk” ledwo się zdarza... A w dedykacji pani Irena zachęca: *serdecznie, do poczytania*. Wczytuję się więc i notuję.

Zacznę jak dziecko – od wrażeń wizualnych. Tomik jest pięknie wydany, a zdjęcia Kazimierza Słomińskiego nie tylko świetne, ale i adekwatne do aury tej poezji. Gratuluję, Kaziku! Przy innej okazji, gdym się poważał wypowiadać o wcześniejszych zbiorach poetki, podkreślałem, że jej znakomite wiersze nie są łatwe w odbiorze. Nowy tomik potwierdza tę tezę. Bo też autorka podejmuje się czegoś bardzo trudnego, potwierdzając trafne spostrzeżenie autora posłowia, że jest to *zadaniem tyleż oczekiwanym, co z gruntu niemożliwym*. To zamiar pełnego ukazania swej tożsamości osobowej i twórczej w jednym. I to przez poezję, co tym trudniejsze.

Czy jednak nieosiągalne? Ba, takie są ideały, wzorce absolutne. Tymczasem poetka jest człowiekiem. I choć w masie ludzkiej wyróżnia się poetyckim talentem, to staranie się przez swą twórczość o „bycie osobnym” (Feliks Rajczak) nie zdejmuje z niej ani nie umniejsza ludzkich ograniczeń. Zatem, czy porywa się z motyką na słońce? I tak, i nie. Tak, ale owa „motyka” jest nieprzeciętna: to posiadany w sobie dar „iskry bożej” – świat od lat budowany z materii słów, umiejętność operowania nimi tak, aby wyrażały siebie poetycko. To także inny, skorelowany z poprzednim dar: słuch na słowo, na muzykę polszczyzny. A to już jest dar ducha, którego wpływ umożliwia w praktyce, czyli w kształcie wierszy, zmaterializowanie duchowej przestrzeni na postać poetyckiego zapisu.

A dlaczego – nie? Bo przecież porywa się nie na dosłowne słońce. Samo to przysłowie jest hiperbolą, większą chyba niż zmaganie Syzyfa. Poetka zaś nie mierzy w cel utopijny, nie chce – jak Wieszczyk – cierpieć za miliony, tzn. szukać tożsamości człowieka jako takiego. Pragnie – i to jest mądry wybór – znaleźć i określić s w o j ą tożsamość jako istoty ludzkiej i jako twórcy. To jej prawo wyboru i zadana sobie powinność wobec własnej sztuki – poezji. Wyznaje: *to moja poezja do której próbuję dorosnąć*. Czuje, że wciąż tę poezję niesie Pegaz, tu jako *koń / biały skrzydlaty*, którego *wyprowadzam ze swojej chwiejnej równowagi*.

Zatem to jeszcze nie spełnienie – niezbędne dla tożsamości, dla jej odczuwalnego i widzialnego, wręcz namacalnego kształtu: siebie i swego dzieła, wręcz monolitu zrośniętego z obu tych elementów. Nie ma pełni – nie ma całkowitej tożsamości, skoro jej podstawowe czynniki są niejako rozdzielone, jeśli JA i moja POEZJA wciąż nie są jedni. Zaiste: zadanie niebotyczne.

Jednakże (jeśli już trzymać się przysłów) wiadomo, że „nie święci garnki lepią”. Autentyczny pisarz, w tym przypadku autorka znana miłośnikom poezji (kilkanaście książek) jest nie tylko pewna swego potencjału twórczego – nie może zrezygnować z marzeń. Zgranie ze sobą talentu, pracy i marzeń to w efekcie znakomitość dzieła. Nie „produktu” – jak to czasem ujmują różni oceniacze. Wykonania produktu można się nauczyć, napisania dobrego wiersza – nie, ponieważ dla wiersza trzeba mieć w sobie niepowtarzalne, własnie osobne, światło ładu: *ten ład dzieje się niejako poza mną / choć mnie dotyczy* („Światło”). Swoisty dualizm? Być może, bo jeszcze nie ma ostatecznego stopu osoby z poezją w kosmosie tej pierwszej – tak, by stanowiły jednolity, tożsamy byt.

Ale przecież jest również nadzieja:

*...uczę się nadziei
że światło
lampka oliwna zmierzchu przeprowadzi mnie
przez fale morza które znów się rozstąpi
przede mną*

Niech nie dziwi słówko „znów”: nie byłoby tych wierszy, gdyby ów motyw biblijny (morze się rozstąpi) nie miał miejsca wcześniej. To się dokonuje bodaj w każdym akcie twórczym. Wielcy klasycy także wyrażali tę nadzieję, choć mieli świadomość wartości swych dzieł – że przypomnę choćby znaną myśl Horacego o pomniku jego poezji trwalszym od spiżu. Niedouk czy zawistnik odczyta takie wyznanie jako autorską zarozumiałość (spotkałem takich), ale to jest nadzieja wynikła nie tylko z autooceny, lecz równocześnie z pokory wobec sztuki, wobec potęgi słowa. Tyle że prostacki czytelnik nie jest poetą, co najwyżej grafomanem...

Ech, o czym ja tu dywaguję? Od takich ocen poezja p. Ireny stoi w niepoliczalnej od nich odległości! Przechwalam? Skądże, notuję tylko niektóre refleksje z lektury, bo żeby je uszczegółwić, trzeba by napisać obszerną dysertację. A poetka w tym nie tyle poszukiwaniu, co dopełnieniu kształtu tożsamości, niekiedy zaskakuje czymś, co teoretycy literatury nazywają tropami lub też swoistym kryterium wartości wiersza polegającym na tym, że „słowo dziwi się słowu”. Przykład z wiersza „Kwitnienie”:

*to przywilej starości
poznawać
tajemnice trawników
kiedy nogi
nie pozwalają już dojść za daleko*

Albo z wiersza „Eros”:

*od strzały Erosa – myślę
zaczyna się nasze
zbawienie*

Już słyszę tu oburzenie fanatyków i jeszcze większe po cytacie z „Ikony”:

Matka Boska – odkrywam ją w sobie

choć w tej samej strofie autorka jakby się reflektuje:

*i czy to aby nie bluźnierstwo
przeżywać wraz z nią*

No cóż, w czasach mego dorastania tego typu oburzenie lub zarzut obrazoburstwa kwitowało się wzruszeniem ramion albo znanym rymem: „Modli się pod figurą, a nosi diabła za skórą”. Wystarczy bowiem wczytać się w oba te wiersze, by zamiast głupio się oburzać – w pierwszym z nich zobaczyć zacytowaną p r a w d ę, a przy okazji dostrzec piękną metaforę: *fiolki / pocałunki cienia*, a w drugim doczytać się dramatów ludzkiego życia i zadumać nad kwintesencją tego utworu:

*pomyśl jak mocno splatamy w sobie
tę promiennność
ikony*

Płytcy oburzalscy – jak byście reagowali, czytając poezję ks. Jana Twardowskiego?

Pokora poetki wyraża się nie tylko wobec słowa stanowiącego trudne tworzywo poezji. Także wobec wartości, która w ujęciu Słomińskiej jest skomplikowaną drogą dzisiejszego życia, pełną różnych czyhań na człowieka mogących zniszczyć jego tożsamość: *zaryzykuj siebie na targowisku; popatrz na swoją twarz / bycie / jak na towar; stań się / kolorową etykietką; wpisz się w pospolite kuszenie. Zrozum zawłaszczenie godności gdy wypróbujesz / swoją tożsamość...*

Pokora wobec takich zabiegów jest kontrowersyjna – tu raczej przydałaby się walka. Ale poetka wie, że ta walka byłaby właśnie syzyfowa, więc jej pokora odnosi się do faktów, do rzeczywistości. A że ta skrzeczy... Można tylko krzyknąć za klasykiem: O tempora, o mores!

Autorka, formując swoją tożsamość w monolit siebie jako człowieka i poezji jako integralnego z nim współlistnienia, sięga też po myśl klasyczną zawartą w znanych dziełach. Na przykład istotą Kubusia Puchatka jest dla niej to, że ten bohater baśni *unika wielkich słów*. Inspirowana Szymborską stwierdza: *twój czas wciąż się rozwiewa poezjo*. W jej barwnym ogródku demokracja jest snem. A złotooka Diana *porzuca siłę ramienia / żeby stać się blaskiem / magią przeznaczenia każdego życia*.

Któż jednak wie, czy nie najwięcej pokory – z równoczesnym zachwytem i nostalgią – ma poetka wobec tego, co najbliższe, znane, pamiętane z dzieciństwa, z życia, z codzienności? To jest największe bogactwo ciała i ducha, bo nie nabyte, lecz – przeżyte. Można by tu wymienić szereg wierszy z tomiku i uargumentować cytatami powyższą tezę, np. „Pierwszy bez”, „Zielone pomidory”, „Wiatraczek”, „Doniczka”, inne.

Ale chcę jeszcze dodać coś niecoś o tym, co w poezji szczególnie cenię. To – liryzm. Zdawałoby się, że w tak zintelektualizowanej poezji niewiele da się go znaleźć. Lecz to wrażenie pozorne, bo odczuwamy je na tzw. pierwszy rzut oka w te utwory. Zagłębienie się w ich treść, formę, w artystyczny kunszt, we wspomniany słuch poetycki i buzującą, choć niejako podskórną, ukrytą w podtekstach i między wersami czy też obrazami siłę uczuć – rozbija ten pozór niczym wydmuszkę. I te fale emocji wnikają niemal niepostrzeżenie w naszą wrażliwość. Nie będę tu cytował, sami tego doświadczcie!

No dobrze, a co z tożsamością? W moim odczuciu poetka już ten monolit stworzyła. Zapewne będzie go nadal „dopieszczać”, wnikliwie mu przyglądać, dopełniać, szlifować. Bo prawdziwy twórca nigdy nie jest zadowolony ze swego dzieła, nawet gdy inni dostrzegli w nim znamiona genialności. Mnie do tego „werdyktu” przekonałoby nie tylko to, co wyniosłem z lektury tomu, ale już tylko passus z tytułowego wiersza: *niepokój / określi twą tożsamość, tak jak ciepło bliskich / ręk.* Skąd zatem domniemanie, że pani Irena będzie nadal?... Bo (w wierszu „Mowa świata”) postuluje: *Wysłuchaj się w tę mowę. Ona ci wyścieli wieczną kolebkę. / Przetrwaj nieistnienie.*

Nieistnienie – przemijanie. Przetrwaj je mowa świata – poezja.

Rafał Orlewski

Irena Słomińska. *Tożsamość*. Redakcja i zdjęcia: Kazimierz Słomiński. Posłowie: Grzegorz Czemiel. Wydawca: druk-24h.com.pl, Białystok 2018.

Romana Więczaszek

KAZIMIERZ I IRENA SŁOMIŃSCY – LITERACI Z BIAŁEGOSTOKU

Jestem dumna, że osobiście poznałam **Kazimierza Słomińskiego**, autora, który należy aktualnie do grona najlepszych satyryków. Poznałam na moim spotkaniu autorskim w Opolu w ramach pleneru artystycznego zorganizowanego przez opolskiego poetę **Piotra Żarczyńskiego**. Otóż pan Kazimierz na spotkaniu zaintrygował mnie, słuchał i patrzył, nie widząc NIC ani NIKOGO. Rozmyślał. Zadedykowałam nieznajomemu wiersz i... nastąpiło ożywienie. Okazało się, że tak oto powstają aforyzmy, ten związany był z moim imieniem. Niestety, w tajemniczy sposób aforyzm mi zaginął.

A więc jestem dumna ze znajomości, ponieważ **Kazimierz z małżonką Ireną** są ludźmi niezwykłymi. Obydwoje są literatami w szerokim znaczeniu, należą do Związku Literatów Polskich, mieszkają w Białymstoku. Od 1994 r. redagują kwartalnik literacki „**Najprościej**” wydawany przy pomocy Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku, wydali po kilka autorskich książek. Redagują też wydania zbiorowe i tomiki poetyckie. Wśród nich jest i mój tom „**Krople ze źródła**” (Kraków, 2018).

Irena Słomińska pisze w tym numerze o zbiorze aforyzmów męża pt. „**Najważniejsze jest przeżycie**”. Dla mnie najważniejsze są następujące sensy:

- *Współcześnie, gdy nasz czas na literaturę się kurczy, aforyzm staje się remedium pozwalającym na samopoznanie.*
- *Poszczególne zdania-myśli, każda odrębna, tworzą książkę, „mozaikę” naszej rzeczywistości, „puzzle”, z których układamy wiedzę o świecie – uniwersalną i współczesną. (...) Gdy tak patrzę na Kazimierza, jawi mi się smutny Stańczyk”.*
- *Ironia, smutek, sarkazm, rzadko żywiołowy śmiech tworzą specyficzny liryzm tych aforyzmów. Ich kunszt to kunszt sensu, skondensowanie, celność strzały trafiającej w serce tarczy.*

Wybrałam kilka aforyzmów z tego zbioru:

- *Czas kaleki: za dużo ludzi bez twarzy.*
- *Dusigrosz nawet z grosza potrafi wydusić gównno.*
- *Media sprzyjają wymianie poglądów na głupsze.*
- *Życie dzieli się po to, żeby mnożyć doznania.*
- *Wymyślono podbój kosmosu, bo chaosowi na ziemi za ciasno.*
- *W każdym z nas drzemie jakiś sen o człowieku.*
- *Nie wystarczy rozebrać piękność. Trzeba ją jeszcze odnaleźć w sercu.*
- *W kulturze współzycia najważniejsza jest skuteczność pieśszoty.*

Po lekturze tego artykułu jestem pewna, że nie powinno się aforyzmowi odmawiać wartości. W dobie krótkich form porozumiewania się z drugim człowiekiem, aforyzm i fraszka są jak najbardziej odpowiednie. A jaką wiedzę przekazują o człowieku!

R o m a n a W i ę c z a s z e k

Tekst zamieszczony na stronie internetowej: Klub Literacki Brzeg (opublik. 9.11.2018). Dotyczy publikacji: Irena Słomińska. *Jak czytam „Najważniejsze jest przeżycie” („Najprościej”*, nr 2/120/2018, str. 30-31.

G r a ż y n a C y l w i k

PLENER LITERACKI W KAZIMIERZU DOLNYM 30 WRZEŚNIA – 8 PAŹDZIERNIKA 2018 ROKU

W tegorocznym plenerze uczestniczyło 14 poetów, w tym jedna wokalistka: Renata Blicharz, Ewa Bugajewska-Grygiel, Felicja Bożykowska-Sękowska, Grażyna Cyłwik, Irena Grabowiecka, Hanna Fołtyn, Alicja Kayzer, Irena Łukszo, Tosia Marcinkiewicz, Stanisław Nyczaj, Małgosia i Mieczysław Siemieniec, Halina Surmacz, Teresa i Wojciech Ostrowscy, Kazimierz Ryk, organizatorzy Barbara i Marian Jedlecki – prezes Stowarzyszenia Autorów Polskich o/Kołobrzeg. Komisarzem pleneru był Stanisław Nyczaj – Prezes Oddziału ZLP w Kielcach – poeta, eseista, aforysta, edytor, animator życia literackiego.

Rozpoczęliśmy porankiem poetyckim. Każdy z uczestników przedstawił swoją osobę oraz dorobek literacki. Stanowiło to bazę do dalszych wystąpień.

Stanisław Nyczaj zapoznał nas z książką „Taniec z pamięcią” – wokół opolskich lat Jerzego Grotowskiego – wydaną w roku 2018. Godną polecenia była „Metafizyka tworzenia”, poświęcona tajemnicom procesu twórczego w oparciu o zwierzenia polskich poetów współczesnych. Uwagę przykuła „Arcymiara”. Tytułowy wiersz przytaczam w całości:

*Nasz Układ Słoneczny – wspólny
jakimż bezprawiem zniewolenia?!*

*Próbuję wynieść się z jego
„miłosego” uścisku.
Wyzwolić w nieznaną nikomu galaktykę
własnego wnętrza.*

*I ty próbuj ujść w swoją.
Stworzyłaś ją przecież – tak samo jak ja –
na intymnie bezmierną
arcymiarę osobistej wolności.*

Zainteresowaniem cieszyły się zajęcia warsztatowe, które prowadziła Irena Grabowiecka (uprawiająca poezję, krytykę literacką i fotografię artystyczną) na temat „Esej jako gatunek artystyczny i jego realizacje”. Jako przykład przeczytała „W lesie słów, w rzekach fraz, w labiryntach myśli” z antologii „Podlasie w blasku słowa”.

Następnego dnia spotkanie literackie w Kazimierzu Dolnym poprowadził Stanisław Nyczaj w bibliotece. Miało charakter otwarty. Gośćmi byli mieszkańcy miasta; poeta Edward Marian Kryształowski, malarz Jan Stępka, którego prace tworzyły nastrój. Poeci czytali swoje utwory. Był także kiermasz książek. Poezję śpiewaną do słów wiersza Kazimierza Ryka i kompozytora Bogdana Polaka, wykonała wokalistka pleneru.

Kolejny dzień – same niespodzianki. Imieniny Teresy Ostrowskiej. Autorka pisze wiersze dla dzieci. Prezentowała tomik dla dorosłych „Sercem pisane”. Wieczorem razem z mężem Stanisławem przygotowali słodkości dla poetów, tańczyli upojne tango, Małgosia Siemieniec – śpiewała. Ballady o miłości wykonał przy akompaniamentie gitary Edward Marian Kryształowski.

Biesiada literacka „Moja Niepodległa” w Gminnym Ośrodku Kultury w Janowcu zaowocowała spotkaniem z młodzieżą i czytaniem poezji.

Wyjazd do Nałęczowa to spotkanie z profesorem Marią Szyszkowską. W kawiarni „Ewelina” słuchaliśmy wykładu na temat „Zagrożenia w XXI wieku. Wartość fundamentalna i metody lecznicze Dalekiego Wschodu”. Były pytania i odpowiedzi. Wokal, jak zawsze, Małgosia.

Konsultacje indywidualne z komisarzem i spotkanie podsumowujące plener zakończyły dni z poezją. Otrzymaliśmy okolicznościowe dyplomy.

W wolnym czasie zwiedzaliśmy zabytkowy Kazimierz Dolny, aparaty i komórki pracowały. Pobyt urozmaicony, słońce zostawiło ślad na naszych policzkach.

W imieniu swoim i wszystkich uczestników pleneru dziękuję organizatorom pleneru Barbarze i Marianowi Jedleckim za organizację, program oraz wyrozumiałość.

Październik 2018

Grażyna Cylwik

NOTKI

20.07.2018. „INFO Sokółka”. Bezpłatny tygodnik. Nr 115/2018. # Patrycja Anastazja Zalewska. 3. *Międzynarodowy Plener Malarski. Dolina Łosośny*. Z tekstu: *W pierwszych dniach III Międzynarodowego Pleneru Malarskiego miło zaskoczyła nas swoją wizytą pani Leonarda Szubzda, nasza wspaniąta sokólska poetka. Poetka podzieliła się z uczestnikami Pleneru swoimi dokonaniem w technice collage, frottage, które bywają ilustracjami do jej wierszy. Podarowała komisarzom Pleneru najnowszy tomik swojej poezji pt. „Dziewczyny” i nie została już wypuszczona z podwórka pod rozłożystym wiązem. Artyści przygotowali dla niej cały warsztat: farby, pędzle, podobrazia itd. Pani Leonarda na początku nieśmiało dotykała płótna pędzlem, z godziny na godzinę dzięki słowom zachęty i wskazówkom uczestników Pleneru radziła sobie coraz lepiej.*

„Przegląd Powiatowy”. Tygodnik Augustowski. Nr 30 (1001). 26.07.2018. # Str. 15: Beata Perzanowska. *Spotkanie muzyki z poezją*. [O spotkaniu w Państwowej Szkole Muzycznej w Augustowie. Swoje wiersze przedstawiły: Józefa Drozdowska, Krystyna Gudel, Janina Osewska. Zdjęcia].

„Nasz Sztabiński Dom”. Miesięcznik Informacyjny Gminy Sztabin. Nr 7 (244). Lipiec 2018. # Str. 2: Patrycja Zacharewicz. *Spotkanie autorskie z panią Krystyną*. [O spotkaniu z Krystyną Gudel 18.05.2018 z młodzieżą szkolną].

22.08.2018. Wakacyjne Spotkanie Muzyki z Poezją. Państwowa Szkoła Muzyczna w Augustowie (ul. Wybickiego 1). Autorka poezji: Leonarda Szubzda.

18-28.08.2018. X Plener Artystyczny w Międzywodziu (literacko-plastyczno-fotograficzny). Organizator: Stowarzyszenie Autorów Polskich o/ Kołobrzeg. W plenerze uczestniczyło 16 osób, m. in. Grażyna Cylwik i Irena Grabowiecka, które brały też udział w prezentacjach poetyckich. W programie m. in. wykład Ireny Grabowieckiej *Esej jako forma wypowiedzi literackiej*.

8.09.2018. Finisaż XX edycji Przeglądu Amatorskiej Twórczości Plastycznej Województwa Podlaskiego „Miejsca, ludzie, obyczaje 1918-2018”. Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury, Białystok, Spodki (ul. św. Rocha 14). Wystawa była prezentowana od 16.07.2018. Znalazły się na niej m. in. trzy obrazy Zbigniewa Nowickiego. Wydany został folder wystawy: *XX Przegląd Amatorskiej Twórczości Plastycznej Województwa Podlaskiego. Miejsca – ludzie – obyczaje 1918 – 2018. W ramach obchodów 100 rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości*. Galeria SPODKI, Białystok 8.09.2018. Zamieszczono w nim m. in. reprodukcję jednego z obrazów Zbigniewa Nowickiego.

8.09.2018. Maria Roszkowska – wernisaż wystawy prac plastycznych *Polskie kwiaty*. Centrum Edukacji Nauczycieli, Białystok, ul. Złota 4.

Strona internetowa: Centrum Edukacji Nauczycieli w Białymstoku. Tekst: *Narodowe Czytanie 2018 – relacja*. [Opublik. 10.09.2018]. Z tekstu: *W sobotę 08.09.2018 r. w Centrum Edukacji Nauczycieli w Białymstoku spotkali się nauczyciele seniorzy na wspólnym czytaniu „Przedwiośnia” w ramach 7 edycji Narodowego Czytania. (...) Imprezie towarzyszył wernisaż wystawy prac plastycznych Pani Marii Roszkowskiej „Polskie kwiaty”. Autorkę przedstawiła Pani Małgorzata Konopka – nauczyciel bibliotekarz Biblioteki Pedagogicznej. Podkreśliła osobowość malarki nacechowaną subtelnością i wrażliwością, widoczną w prezentowanych pracach. Zwróciła uwagę na dominującą w malarstwie Pani Marii obecność kwiatów z polskich łąk, pól i ogrodów, które komponują się doskonale z tematyką narodową. Następnie Autorka opowiedziała uczestnikom spotkania o swojej twórczości i technikach malarskich, które wykorzystuje. Artystce złożyła gratulacje Pani dyrektor Ewa Ściana. Goście kontemplowali piękne obrazy wyeksponowane w Galerii „Na Złotej”. Spotkaniu towarzyszyła miła atmosfera, która sprzyjała konwersacji. Pani*

Irena Grabowiecka w swojej wzruszającej wypowiedzi podzieliła się własnymi przeżyciami z czasów wojny, związanymi z powrotem do kraju. Nawiązując do sceny z filmu „Przedwiośnie”, opowiedziała, jaka radość towarzyszyła Polakom, którzy przekraczali granicę Ojczyzny. Dużo ciepłych słów poświęciła również Pani Marii Roszkowskiej.

14.09.2018. Katarzyna Grabowska – spotkanie autorskie. Oprawa muzyczna: Marek Jarosz – gitara i śpiew. Suraż, Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury (ul. Bielska 4).

16.09.2018. Spotkanie Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. Prowadził Kazimierz Słomiński. • Prezentacja projektów plakatowych i pocztówek. Irena Grabowiecka *Na skrzydłach tęsknoty* – haiku oraz ilustracje Marii Roszkowskiej (ptaki malowane kawą). Grażyna Cylwik *Szepty drzew* – haiku oraz ilustracje Marii Roszkowskiej (drzewa malowane kawą). • Irena Słomińska – spotkanie autorskie, tomik *Tożsamość* (Białystok 2018), prowadził Kazimierz Słomiński. • Powakacyjne reminiscencje. • Turniej jednego wiersza; temat: *Tęsknota za latem*; jury: Grażyna Cylwik, Irena Słomińska, Kazimierz Słomiński – rozpatrzyło osiem wierszy, nagroda: Joanna Pisarska.

23.09.2018. Podsumowanie XV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Melanii Burzyńskiej pn. „Poezja życiem pisana”. Gminny Ośrodek Kultury w Jaświłach. Organizatorzy: Moniecki Ośrodek Kultury, Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury, Gminny Ośrodek Kultury w Jaświłach. W programie m. in. warsztaty literackie prowadzone przez Krystynę Bezubik. • Wydawnictwo pokonkursowe: *XV Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Melanii Burzyńskiej pn. „Poezja życiem pisana”*. Moniecki Ośrodek Kultury, Mońki 2018. Stron 32 [bez numeracji]; 29,7 x 10,5 cm. # Str. [3]: *Wyciąg z protokołu posiedzenia jury...* Komisja w składzie: Barbara Pacholska, Bożena Kupińska, Izabela Dąbrowska, Katarzyna Namojlik na posiedzeniu w dniu 23.09.2018 rozpatrzyła 17 zestawów wierszy. Przyznano pierwszą, drugą i trzecią nagrodę, cztery wyróżnienia oraz nagrodę wójta gminy Jaświły. Trzecią nagrodę otrzymała Grażyna Cylwik z Białegostoku, a Nagrodę Wójta Gminy Jaświły Regina Świtoń z Knyszyna. # Str. 13-15: Grażyna Cylwik. *** *wracam do chaty...*; *Opowieści*; *** *kluczem łagodności i pokory...* [Wiersze]. # Str. 28-30: Regina Świtoń. *Spacer z Melanią*; *Reminiscencja*; *W tamtym domu*. [Wiersze].

23.09.2018. XVII Niedzielne Pogwarki Poetyckie przy Herbatce, zatytułowane „Święto mojej ulicy”. Miejska Biblioteka Publiczna APK, Filia nr 2, Augustów, ul. Komunalna 2. Prowadziła Józefa Drozdowska. Autorzy prezentowali wiersze na temat augustowskich ulic. Spotkaniu towarzyszyła wystawa akwarel Zdzisława Rutkowskiego.

27.09.2018. Rozstrzygnięta została XXV edycja Ogólnopolskiego Konkursu Jednego Wiersza. I Liceum Ogólnokształcące im. Marii Konopnickiej, Suwałki, ul. Mickiewicza 3. Konkurs zorganizowano w setną rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę. W jury uczestniczyła m. in. Józefa Drozdowska.

„Akant”. Miesięcznik Literacki. [Bydgoszcz]. Nr 9 (269). Wrzesień 2018. # Str. Str. 6: Irena Batura. *Sady*. [Wiersz].

Bez-KRESY. I Ogólnopolski Konkurs Poetycki. Utwory nagrodzone i wyróżnione. Wydawnictwo pokonkursowe. Wydawca: Miejska Biblioteka Publiczna w Cieszanowie, Cieszanów 2018. Stron 48; 21,2 x 15 cm. # Str. 5: *Protokół konkursu*. Wyróżnienie drukiem uzyskała m. in. Krystyna Gudel z Suchowoli. # Str. 39: Krystyna Gudel. *O bieli*. [Wiersz].

Augustow24.pl – strona internetowa. Józefa Drozdowska. *Buty i o butach*. [opublik. 2.10.2018]. Tekst o spotkaniu 17.06.2018:

Buty, co wykazały Pogwarki Poetyckie, okazały się artystycznie inspirujące. Poeci, których wiersze zostały zaprezentowane w czasie spotkania, przyjrzeni się im ze wszystkich stron i przenicowali je dokładnie. Są w ich utworach wspomnienia z dzieciństwa i czasów wojny oraz

rozważania filozoficzne. Sięgają w swoich wierszach do scen filmowych, doświadczeń religijnych i etycznych, nie pomijając scenek z życia domowego. Nie zabrakło też bajki z morałem. Jeden z wierszy jest napisany w gwarze czarnych górali znad Popradu. Mogłabym jeszcze snuć i snuć rozważania. Buty w ich twórczości to codzienność i odświętność. Sny, marzenia i realność dnia codziennego. Zaduma, uśmiech i nieco satyry. Ja i moje buty. Buty innych. Pamięć o najbliższych. Zaduma nad losem własnym i tych, którzy przy ich produkcji ciężko pracują bez godziwej zapłaty. Buty, w których wędrujemy do miejsc wymarzonych i w zaświaty. Nasza codzienność i odświętność. Nasza radość i czyjeś cierpienie. Zabawa formą i słowem. Chociaż zawołanie w tych wierszach brzmiało: *Po prostu buty...*, większość z nich mówi o ludziach i ich losach. Czasem w snutych przez poetów historiach można się przejrzyć jak w lustrze. I co by tu jeszcze? Wszystko jest w tych wierszach. Poczytajcie, możecie nie zgodzić się z poetami, ale nie możecie być wobec tych wierszy obojętni.

Macie Państwo przed sobą wybór utworów zaprezentowanych w czasie czerwcowych XVI Niedzielnych Pogwarek Poetyckich przy Herbatce. Są to teksty następujących poetów: Ireny Batury, Alicji Bolińskiej, Józefa Zenona Budzińskiego, Józefy Drozdowskiej, Krystyny Gudel, Doroty Jagodzińskiej, Reginy Kantarskiej, Bożeny Klimaszewskiej, Wandy Łomnickiej-Dulak, Celiny Mienkowskiej, Janiny Osewskiej, Marii Roszkowskiej, Jana Saczko, Jerzego Sikory, Ireny Słomińskiej, Kazimierza Słomińskiego, Małgorzaty Szczeciny, Leonardy Szubzdy, Reginy Świtoń, Krystyny Walickiej, Piotra Waldemara Wiśniewskiego, Ewy Jolanty Wojtków, Zofii Wróblewskiej, Małgorzaty Zachorowskiej-Falickiej i Krystyny Zawadzkiej. Niektóre z wierszy czytali sami poeci, inne zaś zaprzyjaźnieni z biblioteką czytelnicy: Urszula Bagińska, Małgorzata Dworak, Bogusław Falicki, Krystyna Gilewska, Alicja Lidia Karpińska i Halina Rowińska.

Plakat i zaproszenie na spotkanie zaprojektowała Renata Rybsztat.

Na wystawie towarzyszącej popołudniu poetyckiemu można było oglądać malarstwo (olej na płótnie) Celiny Mienkowskiej. Malarka przedstawiła obrazy religijne, przyrodnicze i portrety. Przy herbatce, kawie i słodyczach snuto rozmowy niekoniecznie tylko poetyckie.

Wnet zdamy relację z XVII Niedzielnych Pogwarek Poetyckich przy Herbatce poświęconych augustowskim ulicom. Również było czego posłuchać. Dla przypomnienia podaję, że owe pogwarki odbywają się od grudnia 2014 roku w Filii nr 2 Miejskiej Biblioteki Publicznej APK w Augustowie (ul. Komunalna 2 w dzielnicy "Koszary"). Organizują je Józefa Drozdowska i Anna Oleksy przy wsparciu pozostałych koleżanek bibliotekarek.

- Zdjęcia. Wersja elektroniczna zbiorku *Po prostu buty...* [pdf].

- Wersja papierowa: *Po prostu buty...* Miejska Biblioteka Publiczna Augustowskich Placówek Kultury, Augustów 2018. Stron 48; 21 x 14,5 cm. Koncepcja wydawnicza i wybór wierszy: Józefa Drozdowska. Opracowanie: Józefa Drozdowska, Leonarda Szubzda. Wydawnictwo okolicznościowe z okazji XVI Niedzielnych Pogwarek Poetyckich przy Herbatce pt. „*Po prostu buty...*” prowadzonych przez Józefę Drozdowską i Annę Oleksy w Filii nr 2 APK Augustów. 17 czerwca 2018. Nakład 34 egz. # Str. 3-4: Irena Batura. *Opowieści z butami w tle*. [Wiersz]. # Str. 7-9: Józefa Drozdowska. *Bez butów; Opowieść o piesku do butów; Wieczorna impresja*. # Str. 10: Krystyna Gudel. *** *żdźbła zrozpaczone...* [haiku]. # Str. 13: Regina Kantarska-Koper. *Sen o butach*. [Wiersz]. # Str. 18-19: Janina Osewska. *** *dziesiątkami jesiennych wieczorów...; spacer wczesną wiosną*. [Wiersze]. # Str. 20: Maria Roszkowska. *Buty*. [Wiersz]. # Str. 26: Irena Słomińska. *** *jest wysypisko śmieci za drogą...* [Wiersz]. # Str. 27-28: Kazimierz Słomiński. *Fraszki o butach*. [13 fraszek]. # Str. 30: Leonarda Szubzda. *** *tak dawno / był tamten bal...* [Wiersz]. # Str. 31: Regina Świtoń. *Do butów*. [Wiersz]. # Str. 36: Zofia Wróblewska. *O butach*. [Wiersz].

6.10.2018. IV Regionalny Konkurs Jednego Wiersza im. Elżbiety Daniszewskiej – rozstrzygnięcie. Knyszyn, Knyszyński Ośrodek Kultury (Rynek 39). Rozpatrzono 14 wierszy. Pierwszą nagrodę uzyskała Krystyna Gudel, drugą – Maria Roszkowska, trzecią – Józefa Drozdowska, nagrodę publiczności – Irena Słomińska.

30.09-8.10.2018. Plener Literacki: Kazimierz Dolny, pensjonat „Monika”, ul. Lubelska 48. Organizator: Stowarzyszenie Autorów Polskich o/ Kołobrzeg. Komisarz grupy: Stanisław Nyczaj.

Uczestniczyły m. in. Grażyna Cylwik i Irena Grabowiecka. W programie m. in. wykład Ireny Grabowieckiej *Esej jako gatunek artystyczny i jego realizacje*.

14.10.2018. Podsumowanie IV edycji Konkursu Poetyckiego im. bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Suchowola, kino „Kometa”. • W dniu 24.09.2018 komisja w składzie: Leonarda Szubzda (przewodn.), Józefa Drozdowska, Krystyna Gudel – rozpatrzyła 19 zestawów prac w kategoriach: dzieci i młodzież do lat 18, osoby pełnoletnie oraz mieszkańcy Gminy Suchowola a także kategoria specjalna. W kategorii osób pełnoletnich III miejsce uzyskała Regina Światoń z Knyszyna, zaś wyróżnienie finansowe Agnieszka Ruczaj z Białegostoku. • Wydawnictwo pokonkursowe: *IV otwarty Konkurs Poetycki im. bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Zło dobrem zwyciężaj. Wiersze laureatów*. Suchowola 2018. Stron 34; 21 x 14,6 cm. # Str. 16-18: Regina Światoń. *Tryptyk o Świętym*. [Wiersz]. # Str. 19-20: Agnieszka Ruczaj. *Eden duszy mojej; Oto Człowiek; Zwycięstwo*. [Wiersze]. # Str. 33-34: [Protokół z posiedzenia jury].

19.10.2018. Edward Lipiński – spotkanie autorskie. Miejska Biblioteka Publiczna im. dr. Tadeusza Rakowieckiego w Hajnówce (ul. 3 Maja 45). • Relacja na stronie internetowej MBP w Hajnówce: Joanna Kisielewicz. *Spotkanie z poezją... – Edward Lipiński „Uśmiech krajobrazu”* (tekst i foto; opublik. 19.10.2018). Tekst: „*Uśmiech krajobrazu*” to tytuł najnowszego tomiku wierszy Edwarda Lipińskiego, którego promocja odbyła się 19 października 2018 r. w Czytelni dla Dorosłych Miejskiej Biblioteki Publicznej. Poeta, choć łomżanin z urodzenia, większą część swego dorosłego życia spędził w Hajnówce. Przez wiele lat był nauczycielem polonistą w Zespole Szkół Zawodowych i Zespole Szkół Rolniczych w Hajnówce, pełnił też funkcję Inspektora Wydziału Kultury i Oświaty. Píše od wielu lat: wiersze, aforyzmy, fraszki, haiku, dokumentuje też codzienność prowadząc dzienniki. Należy do Nauczycielskiego Klubu Literackiego ZNP w Białymstoku, udzielał się również w działającym przez wiele lat przy hajnowskiej bibliotece Klubie Literackim. Ostatnie dwa lata były owocne w nowe wiersze, w roku 2017 ukazały się „*Aforyzmy*” pióra Pana Edwarda, a w tym roku wydany został „*Uśmiech krajobrazu*”. W październikowe popołudnie spotkali się miłośnicy talentu Edwarda Lipińskiego, przyjaciele i dawni współpracownicy. Interpretacją wierszy ze zbioru spotkanie rozpoczęły uczennice Szkoły Podstawowej Nr 4 – Giorgia Donninelli i Natalia Głowacka. Wiersze wprowadziły obecnych gości w wyjątkowo liryczny i refleksyjny nastrój, poeta w strofach powraca do rodzinnej Łomży, wspomina rodziców, przyjaciół, świat, który odszedł bezpowrotnie. Teksty ze zbioru przepełniają nostalgia i refleksja nad przemijaniem. Poeta pochyla się w nich nad codziennością, doszukując się sensu i prawdy w odwiecznym cyklu życia. Poezje Pana Edwarda silnie działają na odbiorców, co widać było po reakcjach obecnej na spotkaniu publiczności. Bogactwo środków poetyckich, klasyczna budowa wierszy, wszystko to tworzy spójną całość ukazującą refleksje człowieka, w pewnym sensie filozofa, który kontempluje nad życiem przez pryzmat zmieniającej się rzeczywistości. (...).

21.10.2018. Spotkanie Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. Prowadziła Grażyna Cylwik. • Apoloniusz Ciołkiewicz – spotkanie autorskie, wiersze dla dzieci ze zbiorów *Cztery pory roku* oraz *Dialogi dziobate* (Grajewo 2018), prowadziła Regina Kantarska-Koper. • Beata Kulaga – spotkanie autorskie, głównie wiersze z tomiku *Muśnięcia* (Przemyśl 2013), prowadziła Grażyna Cylwik. • Turniej jednego wiersza; temat: *Znicz*; jury: Apoloniusz Ciołkiewicz, Grażyna Cylwik, Zbigniew Nowicki – rozpatrzyło dziewięć wierszy, nagroda: Barbara Lachowicz. • Konkurs fotograficzny: *Jesień w lesie* – dwie prace; dyplom: Grażyna Cylwik.

Strona internetowa: Aforyzmy, cytaty, fraszki, przysłowia. Złote myśli na każdą okazję. # Zbigniew Waydyk (1924-2003). [82 aforyzmy]. Opublik. 23.10.2018.

Strona internetowa: Klub Literacki Brzeg. # Romana Więczaszek. Kazimierz i Irena Słomińscy – literaci z Białegostoku. [Opublik. 9.11.2018; o recenzji Ireny Słomińskiej z tomiku Kazimierza Słomińskiego *Najważniejsze jest przeżycie* z 2/120/2018 nru „Najprościej”].

„Nowy Goniec Knyszyński”. Miesięcznik Turystyczno-Kulturalny. Nr 10 (168). Październik 2018. # Na pierwszej stronie okładki: zdjęcie z IV Biesiady Literackiej im. Elżbiety Daniszewskiej (na zdjęciu m. in. Joanna Pisarska i Regina Świtoń). # Str. 18-19: *Biesiada przy poetyckich strofach*. [Tekst i zdjęcia]. Tekst: *To kolejne wydarzenie, które na stałe wpisało się w kulturalny kalendarz Knyszyna. 6 października odbyła się IV już Biesiada Literacka im. Elżbiety Daniszewskiej. Tradycyjnie spotkali się na niej poeci: lokalni, ludowi oraz zrzeszeni w Nauczycielskim Klubie Literackim. W sumie, przy poczęstunku, słuchając poetyckich strof, biesiadowało około 50 osób, wśród nich rodzina patronki wydarzenia – najbardziej znanej knyszyńskiej poetki Elżbiety Daniszewskiej. Głównym punktem biesiady był Konkurs Jednego Wiersza. Spośród 14 zgłoszonych jury w składzie: Teresa Dubicka, Krystyna Urbanowicz i Krystyna Wiśniewska główną nagrodę przyznało Krystynie Gudel za wiersz „Kobieta w zielonej zapasce” (...) Kolejne miejsca zajęły Maria Roszkowska i Józefa Drozdowska. Biesiadę urozmaiciło spotkanie z Marcinem Obalkiem ze Stowarzyszenia Czysty Świat. Zabrał on zebranych w podróż do Ameryki Południowej. Była ona o tyle interesująca, że podróżnik zwiedza glob traktorem.* # Str. 20: Krystyna Gudel. *Kobieta w zielonej zapasce*. [Wiersz].

„Akant”. Miesięcznik Literacki. [Bydgoszcz]. Nr 10 (270). Październik 2018. # Str. Str. 22: Irena Batura. *Życiowe role*. [Wiersz].

Kamień i drzewo pamięta... Antologia Poezji Ekologicznej w 100-lecie Niepodległości. Pod redakcją Janiny Drążek i Mieczysława Wojtasika. Stowarzyszenie Ekologiczne, Barcin 2018. Stron 64; 20,5 x 14,5 cm; ISBN 978-83-951980-0-7. *Nagrodzone i wyróżnione wiersze w ogólnopolskim konkursie poetyckim „Prezentacje ekologiczne – Barcin 2018 w 100-lecie Niepodległości”* wyłoniło jury w składzie: Mieczysław Wojtasik, Stefan Pastuszewski, Janina Drążek, Ludwika Adamczyk. Wyróżnienie uzyskała m. in. Krystyna Gudel z Suchowoli. # Str. 19-20: Krystyna Gudel. *Do Marii R.; Po dwóch stronach okna*. [Wiersze].

Z historią w tle – ścieżkami dawnej Suchowoli. Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury Sportu i Turystyki w Suchowoli, Suchowola 2018. Stron 106; 24 x 17 cm; ISBN 978-83-948130-3-1. Autor komentarza: Krystyna Gudel. *Zdjęcia archiwalne pochodzą z prywatnych zbiorów mieszkańców gminy Suchowola*. Album archiwalnych fotografii podzielonych na cztery rozdziały: 1. *Praca i życie codzienne*; 2. *Ważne uroczystości i wydarzenia*; 3. *Ludzie*; 4. *Architektura*.

Międzynarodowa Grupa Literacko-Artystyczna „Kwadrat”. *Metafora Współczesności. Antologia, jesień 2018*. Ridero, b.m.w., 2018. Stron 313; ISBN 978-83-8155-180-9. Redaktor: Alicja Maria Kuberska. Redaktor: Izabela Zubko. Redaktor: Agnieszka Jarzębowska. Redaktor: Katarzyna Anna Lisowska. Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero. # Str. 45: Regina Kantarska-Koper. *Jesienne liście*. [Wiersz]. # Str. 133: Regina Kantarska-Koper. [Fraszki; 6 fraszek].

Love Postcards. International Anthology of Poetry. Editors: Alicja Maria Kuberska and Alicja Minjarez Ramirez. USA 2018. ISBN 978-0-359-043545. Książka częściowo dostępna w internecie. # Str. 120: Regina Kantarska-Koper. *In Love With Musician*. [Wiersz].

Zbigniew Nowicki. *Jam to, nie chwaląc się uczynił*. Wydawca: druk-24h.com.pl, Białystok 2018. Stron 86; 20,5 x 14,5 cm; ISBN 978-83-65997-21-0. Malarstwo (olej): Zbigniew Nowicki [kolorowe reprodukcje sześciu obrazów na okładce i wewnątrz książki]. Zbiór opowiadań. # Str. 3-4: Waldemar Smaszcz. *Literackie inicjacje Zbigniewa Nowickiego*. # Str. 5-84: Opowiadania: *Jam to, nie chwaląc się uczynił, czyli suplement do trylogii; Głód; Mały książę w długiej kolejce; Dmuchać na zimne; Dni rekruta; Odwiedziny; Delegacja; Moja szkoła; Taki sobie całkiem niewinny bałwanek; Dylematy Boga, czyli dewocja nasza codzienna; Przemiana – opowiadanie dziwaczne; Zabawa w wypożyczalni kostiumów teatralnych; Sen (historia zasłyszana, która naprawdę się przyśniła); Kim chcesz zostać, kiedy dorośniesz?; À rebours, czyli silna potrzeba upamiętnienia; Spadek; Dwie historie z życia wzięte*. # Str. 85: *Nota o Autorze*. Tekst: Zbigniew

Nowicki – z zawodu nauczyciel, polonista. Z zamiłowania autor opowiadań oraz plastyk. Oprócz polonistyki ukończył Europejską Szkołę Rysunku prowadzoną przez znanego poznańskiego grafika Włodzimierza Trawińskiego. Na początku lat dziewięćdziesiątych wydał tomik opowiadań pt. „Głód”. Ma na koncie trzy wystawy indywidualne swoich obrazów oraz sześć zbiorowych. Pracował jako nauczyciel w szkole podstawowej oraz średniej. W liceum prowadził także teatr i kabaret szkolny. Należy do Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. Zbiór opowiadań zatytułowany „Jam to, nie chwaląc się, uczynił” jest drugim tomikiem Zbigniewa Nowickiego. Znalazły się w nim również opowiadania najnowsze, które ilustrują, jak autor się przez lata rozwijał, zmieniał spojrzenie na świat i jakich wyborów życiowych dokonał. # Dotychczas w „Najprościej” opublikowane zostały następujące z tych opowiadań: *Dni rekruta* – 1989, nr [5]; *Jam to nie chwaląc się, uczynił, czyli suplement do trylogii* – 1990, nr [8]; *Odwiedziny* – 2018, nr 1(119); *Spadek; À rebours, czyli silna potrzeba upamiętnienia* – 2018, nr 2(120).

Spotkania warsztatowe Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku (ul. Warszawska 8): 1.09.2018; 29.09.2018. Poświęcone poezji – prowadził Kazimierz Słomiński.

Strona internetowa Jana Migielicza: **Migielicz.pl portal satyryczny**. [Wpis:] • 21.10.2018. Kwartalnik Literacki „Najprościej” nr 2/120/2018.

Strona internetowa: **Podlaski Senior [podlaskisenior.pl]**. [Wpis:] • 15.09.2018. *Żadne morze nie szumi inaczej...* [Jolanta Maria Dziennis – wiersz]. • 29.09.2018. *Kasztanowa magia*. [J. M. Dziennis – tekst i wiersz]. • 2.10.2018. Bożena Bednarek. *Podlaskie poetki*. Z tekstu: Poetki: Krystyna Konecka, Mira Łuksza, Leonarda Szubzda i Teresa Radziejewicz zjawily się cztery w jednym miejscu i czasie. Spotkały się w niedzielne popołudnie 30 września 2018 z miłośnikami poezji i opowiadały o swoich bohaterkach, o tożsamości narodowej i lokalnej, patriotyzmie, o kobietach w swojej rodzinie i kobietach w literaturze. (...) Spotkanie zorganizowane przez Stowarzyszenie Szukamy Polski poprowadził dr Krzysztof Korotkich, który zadbał o atmosferę swobodnej rozmowy. Atmosferę zbudował też Andrzej Karolczyk, który skomponował muzykę do wybranych wierszy czterech poetek, zaśpiewał je pięknie grając jednocześnie na gitarze, z towarzyszeniem Marty Bielskiej grającej na skrzypcach. • 15.10.2018. *Na liściu klonowym*. [Wiersz J. M. Dziennis].

W sierpniu 2018 **zmarł** w Mońkach **Józef Grochowski**. Urodził się w 1926 r. we wsi Bajki-Zalesie. Ukończył wieczorową szkołę średnią. Od dzieciństwa mieszkał w okolicach Tykocina. W 1967 r. na stałe osiadł w Mońkach. Trzykrotny mistrz: cieśla, murarz i ogrodnik. Prowadził gospodarstwo ogrodnicze. Poeta ludowy i rzeźbiarz. W Białymstoku (Wojewódzki Dom Kultury, potem Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury) oraz w Mońkach (Moniecki Ośrodek Kultury) opublikował zbiorki: *Polne ścieżki* (1987), *Ginące ślady* (1991), *Moja kraina* (1997), ... *Czas ucieka, wieczność czeka...* (2004), *Moje wspomnienia* (2007), *Legendy o diabłach* (2012), *Moje miasto* (2013).

XXIV edycja Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej im. Franciszka Karpińskiego, przyznawanej przez Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana”. W dniu 6.06.2018 obradowała Kapituła w składzie: J. E. ks. bp. dr. hab. Henryk Ciereszko (przewodn.), Jolanta Gadek, Dorota Sokołowska, Bogusława Wenclaw, prof. dr hab. Jarosław Ławski, dr hab. Dariusz Kulesza prof. UwB, ks. dr Dariusz Wojtecki, Jan Leończuk, Romuald Gumienniak. Nagrodę przyznano **Krzysztofowi Kuczkowskiemu** za stworzenie oryginalnego modelu poezji metafizycznej oraz zorganizowanie i prowadzenie przez ćwierć wieku dwumiesięcznika „Topos”, unikalnego ośrodka kultur i literatury chrześcijańskiej. Wręczono ją 15.11.2018 w Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku.

KSIĄŻKI

Jerzy Binkowski. *Złoty ciężar snu*. Wydawnictwo BUK, Białystok 2018. Stron 160; 20,6 x 16 cm; ISBN 978-83-64922-78-7. Tłumaczenie na język angielski: Beata i Patrick Lahey. Malarstwo: Janusz Andrzejczak. Tomik poezji. # Str. 5-13: Waldemar Smaszcz. *I wciąż tylko jeden jeszcze trud... Poetycka summa Jerzego Binkowskiego*. [Wstęp]. # Wiersze i cykle wierszy: *Alleluja*; *Twoje imię*; *Czułość* (tu 5 wierszy w tłum. na jęz. ang.); *Pieśni Pobożne: Kantata Przemienienia* (także w tłum. na jęz. ang.), *Kantata „Totus Tuus – całyM Twój”*. # Str. 153-154: Janusz Andrzejczak. *Postłowie*. # Na ostatniej stronie okładki wypowiedź Ewy Polak-Pałkiewicz. Z tekstu: *Jerzy Binkowski w swoich religijnych i filozoficznych wierszach, z pokorą i uniesieniem zarazem, z kunsztem właściwym artyście subtelnie władającym narzędziem słowa – uroczym kokieterystycznie niekiedy – wskazuje na kontrastujące światło i mrok, pokój i wojnę, święto i prozę dnia. Nic nie jest banalne, wszystko wabi głębią przemyśleń, choć jest proste, czyste i śpiewne jak piosenka nucona w polu, w lesie, przy pracy, w ogrodzie*. Ponadto zdjęcie i notka o autorze: *Jerzy Binkowski – urodził się w 1949 r. w Gdyni. Ukończył studia filozoficzno-psychologiczne w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Dyplomem reżyserskim ukończył Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Warszawie. Pracował głównie z młodzieżą – poradnictwo i teatr. Mieszka od 40 lat w Białymstoku. Należy do warszawskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał między innymi: „Głosy z pustyni”, „Na drugą stronę białych brzóz”, „W drodze do Damaszku”, „Wygnanie Boga”, „To nieba odbłask poraził człowieka”. Jest autorem libretta do „Kantaty Przemienienia” oraz „Totus Tuus – całyM Twój”. Strona domowa: <https://www.jerzy-binkowski.pl/>*

Renata Diaków. *Artysta zmartwychwstały. Żywot w piętnastu stacjach*. Novae Res – Wydawnictwo Innowacyjne, Gdynia 2014. Stron 200; 19,5 x 12 cm; ISBN 978-83-7942-028-5. Redakcja: Magdalena Śmiechowicz. Powieść. # Z notatki na ostatniej stronie okładki: *„Artysta zmartwychwstały” to powieść skonstruowana na bazie drogi krzyżowej. Składa się z XV rozdziałów – stacji. Osamotniony artysta, żyjący w zniewolonym przez komunistyczny system kraju, nieomal popada w obłąd. Na drodze poszukiwań prawdy, szczęścia i miłości napotyka na wszechobecną hipokryzję, poplecznictwo i brak zrozumienia (...)*

Joanna Jakubik. *Leśny skrzat*. Wydawnictwo PRINT-LAND, b.m.w., 2011. Stron 20 [bez numeracji]; 19,9 x 14,2 cm; ISBN 978-83-61634-12-6. Opracowanie graficzne, redakcja, druk: Wydawnictwo PRINT-LAND. Wierszowana bajka dla dzieci (kolorowe ilustracje).

Adriana Jarosz. *Modlitwy malowane trzcina*. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2018. Stron 84; 17 x 17 cm; ISBN 978-83-60874-81-3. Redakcja i posłowie: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Opracowanie graficzne i skład: Joanna Plichta. Fotografia Autorki: Andrzej M. Makuch. Tomik poezji – 40 wierszy. # Na str. 70 zdjęcie i notka o autorce. Z tekstu: *Adriana Jarosz – pedagog i bibliotekarz. Autorka tomików poetyckich: „Rozdrożami” i „Niebo pachnące sianem” oraz tekstów poetyckich w albumie fotograficzno-poetyckim „Rogalik”. Utwory A. Jarosz ukazały się w wielu antologiach, almanachach i czasopismach poświęconych literaturze i kulturze polskiej. (...) 2011-2015 należała do Koła Młodych przy krakowskim oddziale Związku Literatów Polskich. Związana z krakowskim wydawnictwem SIGNO oraz z krakowską grupą „Každy”. Należy do Stowarzyszenia Przyjaciół Twórczości Jana Kasprowicza. Honorowy Członek Janowskiego Klubu Literackiego. # Str. 73-82: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. *Współlistnienie świata realnego i baśniowego w poezji Adriany Jarosz*. [Posłowie].*

Rafał Orlewski. *Sute Mosty*. Wydawca: Gmina Sulejów, Sulejów 2018. Stron 392; 21,7 x 15,4 cm; ISBN 978-83-951400-1-3. Opracowanie redakcyjne: autor. Powieść (58 rozdziałów – w trzech częściach). Wydanie drugie (wyd. I: 2007). # Str. 383-388: Jaśmina Leśniewska. *Czym są „Sute Mosty”?* [Posłowie]. # Str. 389-390: *Książki Rafała Orlewskiego*. [43 pozycje; zestawił Krzysztof Orlewski]. # Na ostatniej stronie okładki zdjęcie i nota o autorze: *RAFAŁ ORLEWSKI, ur. 1934 r.*

w Przybyławie, pow. Łask, absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Łódzkiego oraz nauk społecznych w Warszawie, jest emerytowanym nauczycielem szkół podstawowych i średnich, a równocześnie literatem. Od 1971 roku mieszka w Piotrkowie Trybunalskim. Podczas II wojny światowej przeżył kilka obozów niemieckich i przymusową tułaczkę aż po Alpy francuskie. Był twórcą i współtwórcą grup literackich: „Karawana”, „Wiadukt” (Łódź), „Grabia 59” (Łask), „Pomona”, „Zakole”, „Pomosty” (Piotrków) i redaktorem czasopisma literackiego „Pomosty”. Zredagował kilkadziesiąt książek innych autorów oraz książek zbiorowych. Publikował swoją twórczość w prasie polskiej i zagranicznej, także w radiu. Jego wiersze tłumaczono na j. włoski, białoruski i rosyjski. Sam też tłumaczył na j. polski z łaciny i rosyjskiego. Był laureatem, a potem jurorem wielu ogólnopolskich i regionalnych konkursów literackich. Tworzył amatorskie zespoły artystyczne, reżyserował i występował w nich na różnych scenach. Wydał drukiem ponad 40 własnych książek (...). Jest członkiem Związku Literatów Polskich. „Sute Mosty” (...) miały swe pierwsze skromne wydanie w Łodzi (2007) i zyskały szereg pochlebnych recenzji prasowych w Polsce. Powieść ta barwnie przedstawia trudne życie ludzi z wioski nad Luciążą o nazwie Sute Mosty (dziś Kludzice) w gm. Sulejów pod Piotrkowem – w czasach zaborów, po upadku powstania styczniowego.

Lucyna Siemińska. *Ulice miasta*. [Projekt i przygotowanie do druku: Wydawnictwo Pejzaż], Bydgoszcz 2017. Stron 96; 20,5 x 13,6 cm; ISBN 978-83-941591-2-2. Zdjęcia: Lucyna Siemińska, Marek Chełmiński, Michał Wiśniewski, Fotolia. Zdjęcie Autorki na okładce: Daniela Polasik. Tomik poezji – 56 wierszy. Na ostatniej stronie okładki zdjęcie autorki i notka: *Lucyna Siemińska – ur. 06.10.1962 r. w Bydgoszczy. Członek Stowarzyszenia Autorów Polskich i Gdańskiego Klubu Poetów. Laureatka kilku konkursów poetyckich. Publikowała w czasopismach „Akant”, „Znaj”, „sZAFa” oraz w licznych antologiach. Autorka tomików wierszy: „Blżej...” (2006), „Latawcom nie potrzeba skrzydeł” (2007), „Pryzmaty myśli” (2008), „Niebo nad słonecznikami” (2009), „Ucieczka w sen” (2011), „Wspomnienie o błogosławionym ks. Jerzym Popiełuszce – wierszem” (2015), „Dogonić chwilę” (2015) oraz zbioru opowiadań: „Weekend z Rudą i inne opowiadania” (2014).*

Adam Bolesław Wierzbicki. *Ograć samego siebie*. Wydawca: Pro Libris – Wydawnictwo WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, Zielona Góra 2018. Stron 48; 14,5 x 20,9 cm [podł.]; ISBN 978-83-64393-29-7. Ilustracje: Jolanta Ciechanowska. Tomik poezji (19 wierszy). # Str. 5: Dedykacja: *Łukaszowi Gackowi podziękowanie za to, że przyczynił się do powstania tego zbioru, dokładając parę złotych, za które kupiłem ołówki do napisania tych wierszy.* # Str. 44-46: Katarzyna Młynarczyk. *Na prowincji nie ma tajemnic*. [Posłowie]. # Na ostatniej stronie okładki zdjęcie autora i notka: *Adam Bolesław Wierzbicki – urodzony 14 stycznia 1972 roku w Krośnie Odrzańskim. Autor dwóch arkuszy poetyckich „W pogoni za słońcem” (1997) – wydanie autorskie i „Trzy słowa krwią pisane” (1998) – wydanie autorskie oraz czterech zbiorów wierszy „429/01” (2007) – wydanie autorskie, „Po przejściach” (2013) – wydanie autorskie, „Zapiski z wakacji” (2015) – TAWA Chełm, „Dziedzictwo” (2016) – Grupa Literyczna Na Krechę, Poznań. Publikował między innymi w „Autografie”, „Toposie”, „Akancie”, „Wiadomościach Literackich”, „Własnym Głosem”, „Lubuskim Nadodrzu”, „Pro Libris”, „Warszawskiej Gazecie”, „Dzienniku Polskim”, „Kronice Ziemi Żarskiej”, a także w antologiach i almanachach. Nagrodzony i wyróżniony w ponad stu pięćdziesięciu ogólnopolskich konkursach literackich. Od 1995 roku jako dziennikarz współpracuje z lubuską prasą lokalną i regionalną. Mieszka w Dłużku koło Lubuska w województwie lubuskim.*

K. S.

Kazimierz Słomiński

FRASZKI O BUTACH

KOGUT

Taki jurny jest z natury,
że bez butów depce kury.

WAŻNIAK

Takim butnym jest padalcem,
że nie kiwnie w bucie palcem.

W POLITYCE

Atmosfera tak zatruta,
że niejeden umarł w butach.

KOZAKI

I kozaki zimą służą
do ogrzania paniom nóżą.

WYGIBAS

Na wysokim zaś obcasie
i wygibas z nóżki ma się.

STOPA ŻYCIOWA

Tak jej źle w hiszpańskich butach,
gdy z normalnych jest wyzuta.

NA SZPILKACH

Dziw nad dziwy u bab w modzie,
że są w szpilkach i na chodzie.

CHOLEWKI

A ty, chłopcze, smal cholewki,
gdy cię nęca nóżki dziewczki.

GŁUPI BUT

Do deptania wciąż gotowy –
taki jest już *obcasowy*.

KAMASZE

Niepokornych mogą straszyć,
że założą im kamasze.

SIEDMIOMIŁOWE

Może by się i przydały,
lecz me nogi ciut przymałe.

DOBRA RADA

W duszę włazić się zachciało?
Zdejmij buty, kapcie załóż.

PANTOFELEK

Jest na świecie panów wiele
i nie każdy pan to Felek.

ASORTYMENT

I czółenka i kajaki –
to chodaki, nie pływaki.

BEZ BUTÓW LEPIEJ

Z wolą boską sprawa taka:
boską wolę na bosaka.

NA SŁONINIE

Był dobrobyt przy Stalinie –
nawet buty na słoninie.

TAAKIE BUTY

Przy aferach i cwaniakach
ma być postęp na bosaka.

O ADIDASACH

Zbyt rozwiążli w naszych czasach
złapać mogą adidasa.

KLAPKI

Byś wyglądał w nich uroczo,
noś na nogach, nie na oczach.

Z BAJEK

Kotów w butach znałem kilka,
a kociaka nawet w szpilkach.

KOLEJE LOSU

Już niejeden but uświetnił
najpierw nogę, potem śmietnik.

TAKI MASOCHISTA

Żeby bucik glanc zachował,
trzeba wciąż go napastować.

BEZ BUTÓW

Jak w przysłowiu nam donoszą,
szewc bez butów chodzi boso.

W ŁAPCIACH

Kiedyś przodek nasz pomykał
przez bór gęsty w łapciach z łyka.

NIE TYLKO BUTY

Zgodnie sobie drepcą w parze,
by móc razem się zestarzeć.

Kazimierz Słomiński